

**Leigh Michaels**

**Kim jesteś, Święty  
Mikołaju?**

## Rozdział 1

Dzień zaczął się nie najlepiej. Dostawa artykułów świątecznych – lampek, kolorowego papieru do pakowania prezentów i choinkowych ozdób – która miała nadejść rano, utknęła gdzieś między magazynem a sklepem. Dwie pierwsze godziny pracy upłynęły Brandi Ogilvie głównie na wydzwanianiu w różne miejsca, lecz zagubionej dostawy nie udało się wytropić.

Na domiar złego, już z samego rana okazało się, że kilka osób zachorowało na gripę. Wirus był wyjątkowo zjadliwy i wyglądało na to, że do końca tygodnia może nieźle przetrzebić personel. W pierwszy poniedziałek grudnia taka perspektywa była doprawdy niewesoła. Sezon świątecznych zakupów dopiero się zaczynał, a dom handlowy w Oak Park, należący do sieci Tyler-Royale, to nie byle samoobsługowy sklepik. Dla jego kierowniczkę, Brandi Ogilvie, personel liczył się w tym okresie na wagę złota.

Jakby tego wszystkiego było jeszcze mało, nie dano jej nawet zjeść spokojnie lunchu. Ledwie ugryzła bułkę z gorącym pastrami, odezwał się pager. Sekretarka wzywała ją do biura. Brandi westchnęła. Zabrała z talerza resztę sandwicza, zamierzając dokończyć go u siebie, i szybko się podniosła. Miała już wyjść z barku, gdy nagle wpadło na nią dwóch chłopców bawiących się w berka między stolami. Z bułki, na nową jedwabną bluzkę, trysnęła musztarda.

– Smarkacze! – warknęła pod nosem Brandi. – Co oni tutaj w ogóle robią? I gdzie są rodzice?

Nie spodziewała się odpowiedzi, toteż zdziwiło ją, gdy przyszła od razu i to z bardzo bliska.

– Tutaj, moja droga. Tutaj. Piją sobie kawę, dla świętego spokoju pobłażając dzieciom. – Casey Amos, kierowniczka działu damskiej odzieży sportowej, sięgnęła po lnianą serwetkę z najbliższego stolika.

– A niech to... – Brandi natychmiast zajęła się czyszczeniem przodu bluzki.

– Usiądź i zjedz coś sensownego. Zaraz poczujesz się lepiej – doradziła Casey.

– Co to ma do rzeczy... Wszystko jedno, gdzie i co jem. Mamy sezon...

A tak między nami... nienawidzę świąt.

– Genialnie! Bardzo odpowiednia postawa u kierownika sklepu. Zapomniałaś, co na konferencji w zeszłym roku powiedział nam Ross Clayton na temat sprzedaży? – Casey przyjęła postawę naśladowczą dyrektora sieci Tyler-Royale i obniżyła ton głosu: – Proszę pamiętać, że sezon świąteczny to lokomotywa w handlu detalicznym. Od połowy listopada do końca grudnia wypracujemy trzecią część całorocznego zysku. Należy szczególnie dbać o klientów. Macie ich zdobywać i wszelkimi siłami utrzymać. Klient nasz pan.

Brandi zmarszczyła brwi.

– Chcesz powiedzieć, że nasz ukochany szef nie byłby szczególnie uszczęśliwiony, gdybym tym chłopaczkom przetrzepała skórę?

– Szkoda zachodu, moja droga – powiedziała szczerze Casey. – Gdybyś jadła, co trzeba, i wsuwała witaminki, warto by ci dobrze radzić, ale tak...

Brandi wybuchnęła śmiechem.

– W porządku. Następnym razem zamówię firmową sałatkę. Oczywiście, sama sobie jestem winna. Nie powinnam tak się spieszyć i chodzić z jedzeniem w ręku.

Tak czy owak, nie mogła wracać do pracy umazana musztardą. Sekretarka musiała cierpliwie poczekać. Brandi weszła do eleganckiego salonu w dziale z luksusową odzieżą damską, i kupiła identyczną bluzkę, płacąc kartą kredytową, którą mieli wszyscy pracownicy sieci Tyler-Royale. Ekspedientka zaproponowała, by zaplamioną bluzkę wysłać od razu do czyszczenia, lecz stwierdziła z żalem, że może już być za późno.

– Plamy z musztardy schodzą bardzo ciężko – powiedziała. – Ale postaramy się zrobić, co w naszej mocy.

Brandi przypięła do bluzki biały goździk, który był znakiem rozpoznawczym funkcji kierowniczej, wzięła kwit i portfel, odnotowując w myślach, żeby przy najbliższej okazji pochwalić ekspedientkę przed jej bezpośrednim szefem, podziękowała i wsiadła do windy.

Znowu schludna i jak zawsze starannie ubrana – nabrała otuchy. Jeszcze tylko cztery tygodnie tego świątecznego szaleństwa, myślała. Przeżyłam to już tyle razy, wytrzymam i teraz. Tego po prostu wymaga praca na tym stanowisku. Przyjdzie dzień, że awansuję, a od pewnego szczebla wzwyż nie odczuwa się już tak dotkliwie ciśnienia związanego ze świątami.

W mieszczącej się w śródmieściu Chicago centrali sieci Tyler-Royale

biura zajmowały całe dwa piętra, ale w poszczególnych sklepach – choćby nawet dużych i jak ten leżących na przedmieściach – przestrzeń była cenna i kierownicy musieli się zadowalać znacznie skromniejszymi pomieszczeniami. Wciśnięty między dział kadr a magazyn gabinet Brandi znajdował się na końcu wąskiego korytarza na najwyższym piętrze. Dostępu do niego broniło stojące we wnęce przy samych drzwiach biurko sekretarki.

Widząc swoją szefową, Dora spojrzała na nią wzrokiem, w którym odmalowała się ulga. Bez wątpienia chodziło o czekającego gościa. Gościnne krzesło nieopodal biurka było zajęte.

– Przepraszam, że zostawiłam cię na tak długo – powiedziała szybko Brandi. – Miałam mały wypadek i musiałam zmienić bluzkę. Czyżbym o czymś zapomniała?

Było to raczej niemożliwe – nie zaplanowała dziś spotkania z przedstawicielami dostawców, a poza tym, gdyby przyszedł ktoś taki, Dora wpuściłaby go do gabinetu, a nie kazała siedzieć w obskurnej wnęce. A w takim razie... kim był człowiek, który na nią czekał?

Mężczyzna podniósł się z taką sprężystą lekkością, że od razu zrobił na niej wrażenie. Była wysoka, a mimo to jej nos znalazł się nagle na poziomie węzła jego krawata. Krawat był czarny; zdecydowanie odcinał się od białej koszuli pod wyciętym w serek swetrem w czarno-biały wzór. Oczy mężczyzny były również niemal czarne, a może jedynie takie się wydawały w efekcie kontrastowych barw ubrania. Włosy też miał czarne – bujne, jedwabiste, miękkie.

– Czekasz na panią – szepnęła Dora. – Mówi, że jest nowym Świętym Mikołajem.

Brandi zamrugła i ponownie przyjrzała się mężczyźnie. Trzydzieści cztery – trzydzieści sześć lat, oceniła błyskawicznie. Ani jednego siwego włosa, szerokie ramiona, płaski brzuch... Twarz... nie, nie nieprzyjemna, tyle że o rysach zbyt ostrych, by można ją nazwać sympatyczną czy miłą. Do tego typu zajęcia nie szukało się mężczyzny o takiej powierzchowności. Nadawałby się raczej na stanowisko modela, kogoś do zewnętrznej reklamy niż do roli dobrotliwego i starego Świętego Mikołaja. Powinien zresztą sam zdawać sobie z tego sprawę, chyba że – pomyślała czujnie – jest psychicznie chory. A jeśli naprawdę uważa się za Świętego Mikołaja?

– Zawiadomiłaś ochronę? – zapytała cicho Dorę, ale mężczyzna dosłyszał.

– Nie ma potrzeby, panno Ogilvie – powiedział spokojnie. Jego głos miał niskie, ciepłe i mocne brzmienie. Pasował do Świętego Mikołaja, ale reszta...

Dora potrząsnęła głową.

– Nie wydawał mi się napastliwy – szepnęła. – Raczej bardzo... hm, hm... zdecydowany.

Co do tupetu swojego gościa Brandi nie miała najmniejszych wątpliwości.

– Pani Ogilvie, jeśli łaska – powiedziała chłodno, zwracając ku niemu twarz. – Jeśli szuka pan pracy...

Opuścił wzrok na jej lewą rękę, na której błyszczał pierścionek z diamentem, po czym znowu spotkali się spojrzeniem. Patrzył na nią bez drgnienia powiek.

– Nie szukam – powiedział twardo. – Ja, pani dyrektor, jestem pani nowym Świętym Mikołajem.

– Przepraszam, nie rozpoznałam. Czyżby dlatego, że nie jest pan przebrany?

Uśmiechnął się. Uśmiech ten rozświetlił najpierw jego oczy, a dopiero później twarz. Błysnęły zęby, w lewym policzku ukazał się dołeczek.

Dora chrząknęła.

– A poza tym dzwonił do pani dyrektor Clayton. – Nazwisko szefa centrali wypowiedziała z nabożnym uszanowaniem. – Czeka....

Brandi ściągnęła brwi.

– Jak to czeka? Dlaczego od razu mi o tym nie powiedziałaś?

– Dyrektor powiedział, żeby pani nie przeszkadzać. Że mam połączyć, kiedy będzie to pani odpowiadało.

Hm, to nie wróżyło nic dobrego. Ross Clayton był taktownym i rozsądnym szefem, ale nie aż tak subtelnym, żeby się przejmować rozkładem zajęć kierowniczej kadry.

– Łącz natychmiast – mruknęła i odwracając się do tego niewiarygodnego Świętego Mikołaja, powiedziała: – Nie zajmuję się sprawami zatrudnienia. Najlepiej by było, gdyby porozmawiał pan z kierownikiem działu kadr... trzecie drzwi po prawej. – Nie patrząc nawet, czy usłuchał, weszła do gabinetu i podniosła słuchawkę. – Ross? Przepraszam, że musiałeś czekać.

– Nic nie szkodzi. Chciałem cię prosić o przysługę, toteż nieładnie

byłoby przerywać ci lunch.

– Och, nieważne, to żaden kłopot. Czym mogę służyć?

– Podsyłam ci pewnego człowieka. Ma się zgłosić po południu.

Brandi zamknęła oczy.

– Taki wysoki? – zapytała ostrożnie. – Z ciemnymi włosami i uśmiechem tak czarującym, że można się nie domyślić, że to maniak?

Clayton parsknął śmiechem.

– Czyli że już się widzieliście. Zack przyszedł?

– Jest tutaj. – Brandi potarła brzeg nosa.

– Świetnie. Zawsze jest punktualny. Możesz go od razu umieścić w grafiku i posłać do pracy. Przyda ci się jeszcze jeden Święty Mikołaj.

– Z całym szacunkiem, Ross... ale wcale mi nie jest potrzebny. Zatrudniłam już trzech znakomitych Świętych Mikołajów. Rozpisałam im godzinę pracy aż do samej Wigilii i...

– Podobno macie u siebie grypę. Co będzie, jeśli jeden się pochoruje?

– Właśnie dlatego zatrudniłam trzech. Ross, to są autentyczni dziadkowie, z autentycznymi białymi brodami i pobielałymi włosami. Mają nawet mniej więcej ten sam wzrost, żeby w razie czego mogli sobie pożyczać ubiór. Powiedz mi, gdzie ja dostanę strój Świętego Mikołaja dla tego goliata? Poza tym dzisiejsze dzieciaki są okropnie bystre. Mam przykleić temu twojemu przyjacielowi parę kłębków białej bawełny do brody i kazać im wierzyć, że to prawdziwy Mikołaj?

– Wiem, że jesteś perfekcjonistką, Brandi. Ale zrób to dla mnie.

Miała ochotę jęknąć.

– Pozwól mi zgadywać – powiedziała kwaśno. – To twój stary przyjaciel. Wiedzie mu się kiepsko i szukasz dla niego pracy.

– Owszem. Ma ostatnio problemy.

– No tak.

– Chodzi wyłącznie o sezonową pracę, Brandi. Wyłącznie do świąt.

– Nie potrzebuję jeszcze jednego Świętego Mikołaja – mruknęła ze złością. – Przydałby mi się asystent i sześciu wykwalifikowanych pracowników, których mogłabym posłać na dowolny dział.

– Słucham?

– Nic, nic. Czy mam to uznać za służbowe polecenie?

– Oj, Brandi. Wiesz, że daję kierownikom maksimum swobody. Staram się nie wydawać służbowych poleceń w sprawach dotyczących

pojedynczych sklepów.

– Rozumiem. Czyli że jest to polecenie. W porządku. Twój Święty Mikołaj ma pracę. – Odłożyła słuchawkę i na moment ukryła twarz w dłoniach. – Dora... – powiedziała do interkomu. – Czy ten Święty jeszcze tam jest?

– Tak. – Sekretarka mówiła niemal szeptem. – Czeka.

– Wcale się nie dziwię. Przyślij go tutaj.

Obserwowała go zza biurka. Wszedł, przemierzył wąski pokój i usiadł naprzeciwko niej. Poruszał się jak sportowiec, swobodnie, a zarazem panując nad każdym gestem. Zastanowiła się, czy przypadkiem nie jest tancerzem. W sposobie jego poruszania było coś takiego... Zresztą, co za różnica, wszystko jedno, kim jest, pomyślała nagle. Zerknęła na robiony grubym ściąganiem sweter i spodnie w dobrym gatunku. Nosił się swobodnie, co by świadczyło o tym, że ubranie nie jest – jak skłonna była podejrzewać – nowe. Czyli że Ross nie musiał ubierać swego przyjaciela przed posłaniem go do niej. To, co miał na sobie, musiało zresztą kosztować niezłą sumkę. Bez trudu rozpoznała znakomitą jakość garderoby. Jeśli więc istotnie przyszedł na tego człowieka marne czasy, zdarzyło się to z całą pewnością niedawno.

Wzięła pióro i narysowała kwadrat na brzegu notatnika.

– Ross powiedział, że ma pan na imię Zack?

– Tak. I chętnie się zgodzę, żeby się pani tak do mnie zwracała, jeśli i pani powie mi swoje imię.

– Nie cierpię tupeciarzy. Może i musiałam dać panu pracę, ale ułatwiać życia to już na pewno nie muszę.

Skłonił głowę. Brandi czuła, że w tym pozornie pokornym geście kryje się ironia.

– Zack Forrest, do usług.

– Tak już lepiej, panie Forrest. Jak panu z pewnością wiadomo, Ross nie zajmuje się bezpośrednio zatrudnianiem personelu w swoich sklepach. Należy to do obowiązku kierowników. Prawdę mówiąc, nie potrzebuję Świętego Mikołaja. Brakuje mi raczej ludzi na niektórych działach – ekspedientów do pomocy klientom. Jeśli to pana interesuje, mógłby pan jeszcze dziś zacząć pracę w dziale męskiej odzieży sportowej. Na początku w charakterze praktykanta, a potem zobaczymy.

Forrest przez cały czas kręcił głową.

– Ross powiedział, że mam być Świętym Mikołajem.

– Już panu mówiłam, że... Proszę mnie zrozumieć. Szef na pewno chciał dobrze, ale on nie zna bieżącej sytuacji.

Genialnie! Brandi ugryzła się w język. Tego tylko brakowało, żeby przyjaciel Clayтона doniósł mu, że kierowniczka z Oak Park uważa, iż jej szef nie ma zielonego pojęcia o tym, co się dzieje w jego własnym sklepie.

– Chcę być Świętym Mikołajem – stwierdził krótko Forrest. – Nalegam. – Gdyby jego głos nie miał tak głębokiego brzmienia, Brandi gotowa byłaby przysiąc, że słyszy upartego trzylatka.

– A jeśli nie, to co? – spytała drwiąco. – Poskarży się pan na mnie Rossowi? Nie wiem, jakiego rodzaju władzę ma pan nad nim, ale...

– Władzą bym tego nie nazwał – przerwał z namysłem.

Brandi poddała się.

– Ale dlaczego przysłał pana właśnie do mnie?

Wzruszył ramionami.

– Powiedział, że w Oak Park Święty Mikołaj ma najwięcej roboty.

– To prawda. Ale dzieje się tak po części dlatego, że przywiązuję dużą wagę do tego, kogo zatrudniamy do tej roli. Święty Mikołaj musi być fachowcem, a wtedy ma murowane powodzenie.

Forrest uśmiechnął się w charakterystyczny sposób.

– Powiedziała pani, że sprawy zatrudnienia nie leżą w jej kompetencji. A może mi się tylko wydawało?

– No wie pan... – Zirytowana zerwała się z miejsca. – Co za tupet! Nic dziwnego, że jest pan bez pracy... Proszę się zameldować w kadrach i wypełnić dokumenty. Aha, i niech pan nie zapomni zostawić swego numeru telefonu. Znalezienie stroju Świętego Mikołaja w rozmiarze pasującym na pana trochę potrwa...

Forrest podniósł się także i Brandi zmierzyła go wzrokiem, sądząc, że krótka lustracja zmiesza go choć odrobinę. Jednak nawet nie mrugnął. Stał spokojnie, obserwując jej twarz.

– Skontaktujemy się z panem, gdy będziemy mogli skierować pana do pracy. Może się pan jednak nie spodziewać telefonu w ciągu kilku najbliższych dni, ponieważ znalezienie stroju będzie raczej...

– Nie ma problemu – przerwał. – Tak się składa, że mam własne szatki. Zostawiłem je w samochodzie. Do pracy mogę przystąpić choćby dziś. – Błysnęły mu oczy. – Oczywiście, jeśli pani sobie tego życzy.



Brandi dała się zaskoczyć.

– Proszę najpierw wypełnić dokumenty, a potem zobaczymy – powiedziała po chwili milczenia. – Zaraz zadzwonię do kadr i powiem, że już pan tam idzie.

Forrestowi drgnął kącik ust, ale nie odezwał się ani słowem, aż stanął w progu i odwrócił się.

– Jest mi pani coś dłużna – powiedział łagodnie.

Brandi podniosła już słuchawkę i wykręcała numer.

– Ja panu dłużna? Na przykład, co? Jeśli panu się wydaje, że wyświadcza mi jakąś łaskę, to...

– Skądże znowu. Jestem niezmiernie wdzięczny za wszystko, co pani dla mnie robi. – W ciepłym, głębokim tonie jego głosu zabrzmiała znowu nutka ironii. – Mam jedynie wrażenie, że zasłużyłem sobie na odrobinę pani czasu. Przynajmniej tyle, żebym mógł przyjrzeć się pani tak samo dokładnie, jak pani mnie.

– Nie rozumiem.

– Rezerwuję sobie do tego prawo. Może kiedyś...

Zasalutował i zamknął za sobą drzwi.

Brandi opadła na krzesło. Odniosła wrażenie, że w jednej chwili okres dzielący od świąt niepomniernie się wydłużył.

Tego popołudnia nie udało się jej zrobić nic konstruktywnego. Cokolwiek próbowała przemyśleć czy ustalić, stawała jej przed oczyma twarz niewydarzonego Świętego Mikołaja. W końcu, zirytowana, schowała całą papierkową robotę do szuflady i wyszła na swój zwykły codzienny obchód.

Parę lat temu, po objęciu funkcji kierownika, nauczyła się wizytować poszczególne działy często i bez zapowiedzenia, po prostu po to, by zyskać pewność, że personel dobrze sobie ze wszystkim radzi. Jak się miało okazać, był to pożyteczny zwyczaj. W ciągu dwóch lat kierowania sklepem udało się jej uniknąć większych problemów. Małe uchybienia likwidowano w zarodku. Zapewne także dlatego jej sklep nieprzerwanie lokował się na jednym z najwyższych miejsc w sieci Tyler-Royale, jeśli chodzi o wysokość wypracowywanych zysków.

Poniedziałki były zawsze stosunkowo najspokojniejszym dniem sprzedaży, lecz ten sezon przedświąteczny zapowiadał się wyjątkowo pracowicie i w sklepie od rana panował spory ruch. Kupujących zachęcał do

wejścia podwójny rząd pięknie ozdobionych drzewek w holu. Niektórzy przystawali, podziwiając dekoracje, inni już wychodzili, obładowani niebiesko-srebrnymi torbami i pudełkami z firmowym znakiem Tyler-Royale. W dziale zabawkarskim kilka kobiet przepatrywało niezliczone półki, a przed dużym fotelem, wyglądającym jak tron i widocznym wewnątrz okazałej chatki Świętego Mikołaja, ustawiała się kolejka dzieci.

Zaraz, zaraz, pomyślała Brandi. Mikołaj miał zacząć pracę dopiero wieczorem, kiedy rodziny – po szkole i pracy – walą do sklepu. Teraz jednak nie powinno go tu jeszcze być. Tymczasem cała gromadka czekała w karnym ogonku, wpatrując się roziskrzonym wzrokiem w postać w czerwonym stroju. Mikołaj siedział na tronie z maluchami na obu kolanach.

Brandi podeszła do najbliższego telefonu i zadzwoniła do kadr.

– Skierowaliście naszego nowego Świętego Mikołaja do pracy już teraz?

Kierownik działu stropił się.

– Oczywiście, że nie. Zarejestrował się i zgodnie z pani życzeniem powiedziałem, że zatelefonujemy do niego, gdy będziemy już mieli plan.

– Tak właśnie myślałam. Dziękuję – mruknęła Brandi i przerwała połączenie.

Kiedy wróciła do ogródka, zauważyła, że dwaj chłopcy opuścili już kolana Świętego Mikołaja. Wspiniała się teraz na nie malutka dziewczynka.

Brandi oparła się o płótek i przez moment obserwowała tę scenę. Musiała przyznać, że Zack Forrest wczuł się w rolę lepiej, niż mogła przypuszczać. Broda, co prawda, nawet z daleka wydawała się sztuczna, ale zrobił coś z brwiami. Były krzaczaste i siwe. Naprawdę wspaniały był natomiast jego strój z grubego czerwonego aksamitu, obszytego czymś, co wyglądało jak prawdziwe białe futro. Dodatki również nie przypominały żadnej taniuchy – pas i długie buty z pięknej czerwonej skóry wypolerowane były do połysku. Czarną skórzaną oprawę miał także notes. Leżał otwarty na prawym kolanie. Tylko po co? Po jakie licho Święty Mikołaj miałby robić notatki? A przede wszystkim, dlaczego w ogóle Forrest tu siedział? Przecież nikt nie dał mu zlecenia. Należało wyświecić sprawę tego nieznośnego pracownika. Im prędzej, tym lepiej.

Brandi otworzyła furtkę i podeszła do początku kolejki.

– Musimy porozmawiać – mruknęła.

Zachowywał się tak, jakby nie słyszał, całą swą uwagę skupiając na dziecku. Dziewczynka miała mniej więcej cztery lata i uszczęśliwiona

paplała coś w języku najzupełniej dla Brandi niezrozumiałym. Równie dobrze mógłby to być na przykład chiński; z normalnym angielskim miał w każdym razie bardzo niewiele wspólnego. Lekkie uniesienie krzaczastych brwi Zacka wskazywać by mogło na to, że i on ma trudności ze zrozumieniem dziewczynki, ale nie przestawał słuchać i od czasu do czasu zapisywał jakieś jej słowo.

– Słyszysz? – mruknęła ponownie.

Spojrzenie Zacka przebiegło oczekujące dzieci.

– Naturalnie. Zobaczymy się, kiedy skończę.

Musiała nad sobą bardzo panować, żeby z miejsca nie wyrzucić go z pracy. Jakby to jednak Wyglądało w obecności dzieci i ich rodziców? Czekala więc niecierpliwie, próbując nie stuknąć ze złości obcasem, gdy zdjął z kolan dziewczynkę, posadził sobie kolejne dziecko i zaczął z nim rozmowę. W ten oto sposób, pomyślała, upłynąć może całe popołudnie. Zapewne zresztą tak to sobie umyślił; liczył na jej zmęczenie czekaniem.

Zamknęła bramkę, żeby kolejka dzieci nie mogła się już wydłużać, i ustawiła tablicę oznaczającą przerwę. Napis głosił, że Święty Mikołaj wyszedł nakarmić swojego renifera, ale wkrótce wróci. Kiedy znowu podeszła do tronu, na kolanach Zacka bawiło się maleństwo, któremu matka robiła zdjęcie. Wreszcie jednak kolejka się skończyła. Brandi odczekała, aż ostatnie dziecko oddali się na tyle, żeby jej nie słyszeć, i ostrym tonem zwróciła się do Forresta:

– Co pan tutaj robi?

– To chyba oczywiste, pracuję.

– Powiedziano panu chyba wyraźnie, że wezwiemy pana, gdy będziemy tego potrzebowali.

– To znaczy kiedy, pani dyrektor? Kiedy? Myślę, że bez większych problemów znalazłby się pretekst, żeby nigdy mnie nie zawezwać. Zauważyłem, że dzisiejszego popołudnia nie zleciliście pracy żadnemu Mikołajowi, więc zgłosiłem się na ochotnika.

– Panie Forrest... Czy pan nie rozumie, że sklep ponosi odpowiedzialność za... Nie można wykonywać tej pracy bez przygotowania.

– A czego tu się uczyć? Personalny dał mi wykaz zasad, które łatwo zapamiętać. Spójrzmy razem. Proszę: Nie należy obiecywać dziecku żadnej zabawki, jeśli rodzice nie dadzą przedtem wyraźnej wskazówki. Należy mówić: Zobaczymy. Nie . komentować próśb o braciszka czy siostrzyczkę.

Udawać, że się ich nie dosłyszało. Nie używać wody kolońskiej o intensywnym zapachu. Nie częstować cukierkiem bez zezwolenia rodziców. Codziennie przed objęciem stanowiska obejść dział z zabawkami, żeby być na bieżąco. Dziecku należy pomóc wspiąć się na kolana, lecz nie trzeba go podnosić, bo może to wywołać strach... – Przerwał i zaraz potem dodał: – Bardzo słuszne zalecenie. Chroni również Świętych Mikołajów przed ewentualnym urazem kręgosłupa z powodu przeciążenia.

– Być może – stwierdziła sztywno Brandi. – Nie rozumiem jednak, co to ma wspólnego z panem. Chodzi o to, że...

– Proszę pani... Zapoznałem się z przepisami, gotów jestem wyrecytować je wszystkie jednym tchem. Dlaczego więc nie miałbym pracować? Po co pozbawiać dzieciaki możliwości porozmawiania ze Świętym Mikołajem tylko dlatego, że jest poniedziałek i na popołudnie nikogo nie obsadzono?

Brandi skrzyżowała ręce na piersiach i uniosła brodę.

– Zdaje się, że pomyliły się panu role, panie...

– Ciszej – ostrzegł. Przy zamkniętej furtce przystanęło dziecko, spoglądając w jego stronę.

– ... Mikołaju – dokończyła przez zaciśnięte zęby. – Powinniśmy chyba przenieść tę dyskusję gdzie indziej.

Zack strzelił palcami.

– O to, to. Utrafiła pani w sedno.

O tej godzinie barek powinien być pusty, pomyślała szybko.

– A może omówilibyśmy to przy kawie? – zaproponowała.

Widząc, że Święty Mikołaj podniósł się z tronu, dziewczynka przy furtce zrobiła smutną minę.

– Kiedy wrócisz, kochany Mikołaju? – zawołała zawiedziona. – Długo będziesz karmił swojego renifera?

– Niedługo. Zaraz wracam.

– Na pana miejscu nie składałabym obietnic – mruknęła Brandi.

Pora wydawania lunchu minęła i w barku siedziało jedynie kilku kelnerów, dając wypoczynek zmęczonym stopom i popijając zimne napoje.

Zack nalał dwie filiżanki kawy i zaniósł je do stolika stojącego w najstronniejszym miejscu, a Brandi wzięła z kontuaru śmietankę, cukier oraz serwetki, prosząc o rachunek na swoje konto.

– Święty Mikołaju, jak mniemam, nie ma przy sobie pieniędzy –

powiedziała kąśliwie, stawiając tacę na stole.

– Owszem, mam, ale zostałem zaproszony. Pomyślałem więc, że jeśli zaproponuję uregulowanie rachunku, poczuje się pani dotknięta.

– W porządku, siadajmy – burknęła niechętnie.

Odsunął dla niej krzesło i dopiero wtedy usiadł naprzeciwko. Mieszając łyżeczką cukier, przez chwilę spoglądała na niego z namysłem.

– Czuję się jak w wariatkowie.

Zack uśmiechnął się szeroko. Efekt tego promiennego uśmiechu na opalonej twarzy, okolonej bielusięnką brodą, był piorunujący. Ładnie mu w czerwonym, pomyślała nie dość przytomnie.

– Jeśli chciałaś w ten grzeczny sposób zapytać, czy uważam się za prawdziwego Świętego Mikołaja, to odpowiem od razu: Nie, Brandi. Nie uważam się za świętego.

– Dzięki. Przynajmniej to jedno mamy z głowy. Ale, chwileczkę. Skąd znasz moje imię?

Konfidentycznie pochylił się nad stolikiem.

– Podejrzewasz, że mam moc przenikania wzrokiem kartotek? Masz mnie za jakiegoś telewizyjnego supermana?

– Nie.

– To dobrze. Ustaliliśmy zatem jedno: Nie uważam się ani za Świętego Mikołaja, ani za żadnego nadczłowieka. Nie jestem maniakiem. Wiemy więc, na czym stoimy. Idźmy dalej.

– Niby dokąd? Wiesz, że mogłabym cię z miejsca wyrzucić. Nie możesz wpychać się do pracy tylko dlatego, że widzisz lukę, którą, twoim zdaniem, należałoby wypełnić.

– Nie żądam zapłaty za dzisiejsze popołudnie. Pracowałem na ochotnika, żeby ci pokazać, że umiem być Świętym Mikołajem. No, powiedz... umiem?

Nie miała najmniejszej ochoty niczego takiego przyznawać, ale zaprzeczyć także nie mogła.

– To bez znaczenia. Sam chyba to rozumiesz.

– Nie bardzo. – Oparł się plecami o krzesło. – Powiedz prawdę. Czy w ogóle byś mnie wezwała?

– Ja? Nie. To nie należy do mnie. Upewniłabym się jedynie, czy kadry o tobie pamiętają.

– Sytuacja, rzecz można, komfortowa. Mógłbym tak czekać aż do samej Wigilii.

– Wybacz, ale zaproponowaliśmy już tę pracę trzem Świętym Mikołajom, a to, że akurat znasz Rossa... To chyba oczywiste, że tamtych należało umieścić w grafiku najpierw.

– Właśnie dlatego uznałem za konieczne działać na własną rękę.

– Panie Forrest, niech pan posłucha. Nie mogę pozwolić na to, żeby pracownicy ustalali sobie rozkład zajęć bez względu na dobro sklepu.

– Ależ ja właśnie wziąłem je pod uwagę. Dzięki mnie dzisiejszego popołudnia Tyler-Royale zyskał kilkanaścioro małych przyjaciół. I byłoby ich drugie tyle, gdybyś dała mi pracować, zamiast ciągnąć mnie tutaj na kawę. Wybacz więc, proszę, ale nakarmiłem już swego renifera i wracam do dzieci. – Odsunął się z krzesłem od stolika i wstał.

– To, że znasz szefa, nie oznacza jeszcze, że możesz się tu szarogęścić.

Zrobił minę, wskazującą na to, że zaczyna tracić cierpliwość, i trochę ją tym osadził. Postąpił absolutnie niedopuszczalnie, wymuszając natychmiastowe przyjęcie do pracy, ale – musiała to przyznać – nie uczynił nic, co usprawiedliwiłoby zerwanie wszelkich stosunków. Dosyć trudno byłoby wyjaśnić Rossowi Claytonowi, co takiego karygodnego zrobił, poświęcając popołudnie, żeby udowodnić, że nadaje się do pracy. Wyglądał zresztą tak, jakby bardzo dobrze znał jej myśli. Stał swobodnie, najwyraźniej czekając na to, że przyzna się do porażki. Brandi skapitulowała.

– Nie będziesz więcej ustalał sobie godzin pracy sam.

– A jeśli obiecuję, że zawsze ci o tym wcześniej powiem?

– Nie o to chodzi.

Uśmiechnął się.

– W porządku. Jestem pewien, że to przemyślisz. A póki co, wiesz, gdzie mnie znaleźć.

Odszedł szybko, przystając na moment w drzwiach, żeby je przytrzymać dwóm wchodzącym starszym paniom. Nie było sensu liczyć do dziesięciu, żeby uspokoić nerwy. Zamiast tego Brandi policzyła dni dzielące od Bożego Narodzenia.

## Rozdział 2

Tego dnia skończyła pracę bardzo późno i wyszła ze sklepu, kiedy wieczorny ruch zaczynał już zamierać. Z parkingu przed ogromnym pasażem handlowym odjechała już większość samochodów. Powietrze było zimne i rześkie. Gdyby nie morze świateł nad miastem, można by zapewne zobaczyć gwiazdy. Nic nie zapowiadało opadów śniegu.

W odległej o parę kilometrów od centrum dzielnicy mieszkaniowej świeciło się niemal we wszystkich oknach. W wielu z nich widać było choinki z kolorowymi lampkami, na przemian zapalającymi się i gaszącymi. Prawie każde drzwi zdobiła girlanda, obrazek ze Świętym Mikołajem lub bożonarodzeniową szopką. Przechodząc przez podwórze, słyszała kolędy. Czowała, że zaraz rozboli ją głowa. Muzyka nie była wprawdzie głośna, ale – tak jak przez cały dzień w sklepie – nie było przed nią ucieczki.

Jej własne mieszkanie było natomiast ciemne i ciche. Zamknęła za sobą drzwi z westchnieniem ulgi, włączyła światło i nastawiła kompakt z muzyką klasyczną, po czym naląła sobie szklaneczkę sherry i usiadła, rozkoszując się spokojem.

Pokój był niczym kokon – przytulny i taki, żeby mieszkało się w nim wygodnie. Podłogę kryła miękka wykładzina, na jasnych ścianach wisiały ładnie oprawione reprodukcje, umeblowanie miało spokojne barwy. Wyglądał teraz tak samo jak przez pozostałe jedenaście miesięcy roku, i między innymi właśnie to Brandi najbardziej w nim lubiła. Nie było żadnej choinki ani świecidełek czy wiszącej u sufitu jemioly. Nie musiała patrzeć na nic związanego ze świętami, wdychać świątecznych zapachów, słuchać kolęd. W gruncie rzeczy, kiedy po całym morderczym dniu znajdowała się wreszcie w swoim własnym domu, miała przez chwilę złudzenie, że świąt Bożego Narodzenia w ogóle nie ma. Były to błogosławione minuty.

Oparła głowę o kanapę i zamknęła oczy. Jak tu sobie poradzić z tym nowym Świętym Mikołajem, pomyślała. W ciągu dwóch lat kierowania sklepem w Oak Park nie trafił się jej taki pracownik. Nigdy w życiu nie słyszała, żeby ktoś nowo zatrudniony ustalał sobie własne godziny, mając w pogardzie plan pracy instytucji, i stawiał warunki swojemu szefowi. Forrest zachowywał się tak, jakby znał tę pracę lepiej od niej.

Co prawda nigdy dotąd nie zatrudniała przyjaciół szefa. Najchętniej

zatelefonowałyby do Claytona i zapytała wprost, czy Zack ma na niego jakiegoś haka. Musiało w tym wszystkim być coś niezwykłego, skoro ów człowiek oczekiwał specjalnego traktowania.

Dopiła sherry, powędrowała do kuchni i zaczęła szukać w zamrażarce czegoś, co dałoby się szybko ugotować, ale zapasy się kończyły i wybór był raczej mizerny. Któregoś z najbliższych dni należało wykroić trochę czasu na zakupy w supermarkecie, a w każdym razie nie wolno ich było odkładać do weekendu, kiedy wszędzie przewalały się tłumy... Słyszając, że dzwoni telefon, skrzywiła się i pomyślała, żeby to zlekceważyć, ale przemogła się i ciężko westchnąwszy, podniosła słuchawkę. Być może ochrona sklepu miała jakieś problemy. W słuchawce usłyszała głos Casey.

– Widziałam cię z tym twoim Świętym Mikołajem w barku. Coś się stało, Brandi?

– Odbyliśmy małą pogawędkę. A co?

– Szkoda, że nie słyszałaś plotek.

– Daj spokój. Dawno już przestały mnie obchodzić.

– W porządku. Nic ci zatem nie powiem – roześmiała się przyjaciółka. – Chociaż historyjka jest przednia. Widziałam, jak między wami iskrzyło.

– Widziałaś jedynie moją irytację.

– Czyli że to prawda, że Ross zmusił cię, żebyś przyjęła tego Forresta do pracy?

Brandi starała się zachować zimną krew.

– Kto ci to powiedział?

– Nikt. Potwierdzasz tylko moje domysły, mówiąc, że byłaś zirytowana. Gdybyś zatrudniła go z własnej woli i gdyby cię zdenerwował, odprowadziłabyś go z kwitkiem.

Brandi pożałowała, że nie potrafiła trzymać języka za zębami. Jeszcze wczoraj obiecywała sobie przemyśleć wszystko dokładnie, zanim cokolwiek powie, a teraz dała się wciągnąć w rozmowę. Forrest ponownie był górą. A skoro tak, aż do świąt czekało ją swoiste ubezwłasnowolnienie.

– Tymczasem – ciągnęła Casey – pracował do końca zmiany. Odbiliśmy razem kartę zegarową i nawet odprowadził mnie do samochodu.

– Gratuluję.

– Wydał mi się niezwykle sympatyczny, ale nie wywołał we mnie takich emocji jak w tobie, więc nie musisz się martwić.

– Nie wiesz przypadkiem, dlaczego ja się z tobą przyjaźnię?



– Pewnie, że wiem. Jestem najlepszą szefową działu, jaką kiedykolwiek u siebie miałaś, a kiedy w przyszłym roku dostanę własny sklep, będziesz za mną płakać.

– To prawda, ale...

– No i jestem szalenie dyskretna. Nie pisnęłabym nikomu ani słówka, gdybyś chciała mi się dzisiaj powierzać.

– Nie sądziłam, że mam odsłonić tajniki swojej duszy – odburknęła drwiąco Brandi. – Jeśli po to dzwonisz, to bardzo pięknie, ale...

Casey spoważniała.

– Nie, nie. Właśnie układam menu na nasze świąteczne przyjęcie. Zostały jeszcze tylko dwa tygodnie, więc muszę już przygotować zamówienie dla restauracji.

– Przecież wiesz, że wszystko mi jedno, co każesz podać.

– Możemy się zmieścić w tej samej kwocie, co w ubiegłym roku, ale trzeba by zrezygnować z krewetek.

– Twierdziłaś, że wszystkim bardzo smakowały.

– Owszem, tyle że ceny poszły w górę. Mówiłaś, że musimy ograniczyć budżet.

– Nieważne. Zamów te krewetki. Zaoszczędzimy na czymś innym, tylko nikomu o tym nie mów. Biorę to na siebie.

– Jasne, dusigroszu. Weźmiesz w tym roku udział w wymianie prezentów?

– Nie. A jak myślisz, dlaczego upierałam się, żeby to było dobrowolne?

– Tak, wiem, ale wydaje mi się, że trochę zmiękłaś. Może to wpływ Świętego Mikołaja. Natchnął cię, czy co?

Brandi zacisnęła zęby.

– Jedyne, co wzbudził we mnie nowy Święty Mikołaj, to wściekłość.

– Nie miałam na myśli nikogo konkretnego – zachnęła się Casey. – Chodziło mi o atmosferę świąt. Ale ty od razu pomyślałaś o tym nowym. Bardzo interesujące.

To, że gabinet Brandi był ciasny, miało w pewnych okolicznościach swoje dobre strony. Zauważyła, że kiedy ludzie siedzą na regałach i szafkach, wszelkie narady i odprawy przebiegają zdumiewająco sprawnie. Właśnie dobiegało końca robocze spotkanie kierowników wszystkich działów, które odbywało się co wtorek, i do otwarcia sklepu pozostało jeszcze parę minut, gdy do gabinetu weszła Dora i bez słowa podała swojej

szefowej kartkę.

Słuchając jednym uchem raportu kierownika działu ze sprzętem elektronicznym, Brandi odczytywała drobne pismo swojej sekretarki: „Pani Townsend ze sklepu w Kansas City prosi o telefon”. Dziwne, pomyślała. Gdyby sprawa była naprawdę pilna, Dora wywołałaby ją na korytarz. A skoro nic specjalnego się nie działo, to dlaczego nie poczekała, aż narada się skończy? Nagle uzmysłowiła sobie, że nie przeczytała dopisku: „Wpadł też ten pani Święty Mikołaj, żeby powiedzieć, że będzie pracował rano”.

Brandi westchnęła. Czy wszyscy w tym sklepie mieli Forresta za jej oczko w głowie? Zwolniła kierowników działów i wyszła za nimi na korytarz.

– Czy pani Townsend powiedziała, o co chodzi? – zapytała sekretarkę.

– Nie. Prosiła jedynie o telefon. Będzie u siebie w sklepie przez cały dzień. – Dora zerknęła niepewnie na karteczkę, którą Brandi wciąż trzymała w ręce. – Nie wiedziałam, co mam zrobić z tym pani Świętym Mikołajem.

– Nikt tego nie wie – przyznała Brandi.

– Nie mam nawet pewności, czy dobrze go zrozumiałam. Kiedy zapytałam, dlaczego po prostu tak jak wszyscy pracownicy nie odbija karty zegarowej, powiedział, że zapewne wołałaby pani zobaczyć go osobiście. Pomyślałam więc, że powinnam od razu panią powiadomić.

Lepiej, żebyś tego nie zrobiła, pomyślała Brandi. Gdyby nie wiedziała, że Zack bawi się już na dole w Świętego Mikołaja, mogłaby po prostu zająć się swoimi sprawami. Skoro jednak już się dowiedziała, musiała coś z tym zrobić. Nie mogła udawać pobłażliwości. Żaden szef nie pozwoliłby nowo zatrudnionemu pracownikowi decydować o rozkładzie godzin pracy i robić z siebie głupka. Gdyby się to rozniosło, stałaby się pośmiewiskiem w całej branży. Tyle tylko, że straciła już całą noc na rozmyślanie o tym, co uczynić, by powstrzymać Forresta od robienia wszystkiego dokładnie tak, jak sobie umyślił, i była tak samo mądra, jak przedtem. Mogła oczywiście odmówić mu zapłaty, ale nie miało to większego sensu, gdyż od razu pożaliłby się Claytonowi. Poza tym, wykonywał pracę, do której go zatrudniono, a że nie w tych godzinach, które ewentualnie chciałyby mu wyznaczyć, to już zupełnie inna kwestia. Skoro zatem nie mogła się go pozbyć, było tylko jedno wyjście. Powinna zrobić mu grafik. Pozwoliłoby to zachować przynajmniej pozory kontroli.

– Czy mogłabyś się dowiedzieć, kiedy przychodzi następny, prawdziwy

Święty Mikołaj? – poprosiła Dorę.

– Naturalnie. – Sekretarka miała nieco zdziwioną minę.

– Albo nie... Idź do działu zatrudnienia, przepisuj plan na następny tydzień i przynieś mi go tutaj. I... mam do ciebie prośbę: zrób to tak, żeby nikt nie widział.

Dora wyglądała na jeszcze bardziej zmieszaną, ale Brandi uśmiechnęła się tylko i weszła do swego gabinetu. Postanowiła dać sobie chwilowo spokój z myśleniem o Forreście i zatelefonowała do Whitney Townsend. Zawsze lubiła z nią rozmawiać i nawet teraz, kiedy Whitney awansowała z kierownika sklepu na stanowisko wiceprzewodniczącej sieci Tyler-Royale, można z nią było pożartować i zwyczajnie poplotkować bez obawy, że kryje się w tym jakiś podtekst.

Połączenie z biurem w Kansas City nastąpiło błyskawicznie.

– Co u ciebie? Nie dzwonisz od paru tygodni – powitała ją Whitney.

– Wiesz, jak jest w sezonie.

– Dokładnie. Właśnie dlatego czekałam na telefon od ciebie przed szczytem tego szaleństwa. Nie wiesz, że należy dzwonić do przełożonych przynajmniej raz w miesiącu?

W serdecznym tonie głosu Whitney nie kryło się żadne żądelko.

– Próbowałam – powiedziała cierpko. – Ale ostatnim razem nie zostawiłam ci wiadomości, bo pojechałaś do sklepu w San Antonio.

– Aha, wtedy. Mam wrażenie, że Rossowi brakuje teraz „spadochroniarzy”, więc wysłał mnie. Pasztet był rzeczywiście okropny.

– Zaraz sobie pomyślałam, że coś takiego się stało. Dzwoniłam też, kiedy wyjechałaś na Hawaje. Sekretarka dała mi nawet twój numer telefonu, ale nie zawraca się komuś głowy podczas miodowego miesiąca.

Whitney roześmiała się.

– Słusznie. A co u ciebie? Żadnych kłopotów?

Brandi pomyślała o Forreście i westchnęła. Nie potrafiłaby nawet ująć tego w słowa.

– Nie więcej niż zwykle.

– To dobrze. Zresztą sama wszystko sprawdzę. Przyjeżdżam i zobaczymy się w końcu tygodnia. Sobotni wieczór zarezerwuj sobie dla mnie. Pasuje?

Brandi odwróciła kartkę w kalendarzu, żeby zanotować spotkanie... i zamarła.

- Chyba nie myślisz o firmowym bankiecie?
- Właśnie. I nie ośmiel się nie przyjść.
- Przecież wiesz, że nienawidzę tych spędów.
- Wiem. Co rok wymyślasz sobie jakiś powód, żeby tylko nie przyjść.

Prawdę mówiąc, Ross prosił mnie, żebym do ciebie nie dzwoniła, ponieważ bardzo był ciekaw, czym się tym razem wykręcisz.

- Ale dzwonisz, a to znaczy, że nie słuchasz szefa.
- Polecenia służbowego nie było – stwierdziła Whitney rozsądnie.

Brandi bardzo by chciała mieć tę odrobinę odwagi, która pozwoliłaby jej odrzucić prośbę Rossa o zatrudnienie Zacka Forresta. Ale do tego trzeba by być wiceprzewodniczącą korporacji, pomyślała tęsknie. Może kiedyś...

– A nie mogłybyśmy raczej spotkać się tylko we dwie na lunchu? Na przyjęciu bardzo trudno tak naprawdę porozmawiać.

Otworzyły się drzwi i Dora położyła na biurku rozkład pracy Świętych Mikołajów.

– Przylatuję w sobotę po południu i wracam w niedzielę – powiedziała stanowczo Whitney. – Możemy zatem zobaczyć się na balu albo wcale.

Brandi skapitulowała.

– No dobrze, przyjdę. Mam tylko nadzieję, że nie każesz mi się świetnie bawić.

Whitney roześmiała się. Odłożywszy słuchawkę, Brandi natychmiast wzięła do ręki grafik. Był on efektem prawdziwie katorżniczej pracy. Uwzględniał obserwacje poczynione w okresie dwóch sezonów świątecznych. Zgodnie z nimi Święty Mikołaj winien trwać na posterunku zawsze wtedy, kiedy do sklepu przychodziły rodziny z dziećmi, to znaczy późnym popołudniem, wieczorami i w weekendy. Godziny pracy Mikołajów były starannie rozdzielone między trzech starych brodatych dziadków. Tymczasem w obecnej sytuacji trzeba było gdzieś wcisnąć Zacka Forresta. Plan nadawał się do wyrzucenia.

Brandi chciało się płakać, a tak naprawdę miała ochotę zejść do działu z zabawkami i spiorunować wzrokiem tego niewydarzeńca. Ale to by wyłącznie pogorszyło sytuację. Wydobyła z szuflady arkusz z tabelą planu i zaczęła rysować nowe okienka.

Ułożenie tego wszystkiego tak, żeby nie okpić ludzi, których wcześniej zatrudniła, wydawało się prawdziwym wyzwaniem. Na myśl o tym, że będzie musiała powiedzieć Mikołajom o zmianach, zrobiło się jej słabo.

Będą zapewne bardzo niezadowoleni i trudno się temu dziwić. Nie mogła jednak powiedzieć im wprost, że tracą część zleceń przez jakiegoś praktykanta, znajomka dyrektora generalnego.

Chyba że... Być może był jeszcze inny sposób załatwienia tej sprawy.

Przejrzała oryginał planu jeszcze raz, po czym uśmiechnęła się, sięgnęła po czerwony pisak i nakreśliła kilka nowych linii. Włożyła kartkę do kieszeni żakietu i wyszła na korytarz.

– Będę w dziale zabawkarskim – powiadomiła Dorę. – Idę porozmawiać ze Świętym Mikołajem.

– Wszystkiego najlepszego – mruknęła pod nosem sekretarka. – Nie zazdroszczę.

Kolejka do ogródka Świętego Mikołaja przesuwała się szybciej niż poprzedniego dnia. Przeważały bardzo małe dzieci i rodzicom zależało bardziej na zdjęciach niż na rozmowach. Brandi zamknęła furtkę, wystawiła tablicę z napisem „Święty Mikołaj wyszedł nakarmić swojego renifera” i podeszła do czoła kolejki.

Zack spostrzegł ją w momencie, gdy wysiadała z windy. Była o tym przekonana, choć nawet na nią nie spojrział. Postronny obserwator mógłby przysiąc, że ani na moment nie oderwał uwagi od dziecka siedzącego na jego kolanach. Brandi jednak wiedziała, że był świadom jej obserwacji.

Poczuła nagle jakieś wibrowanie energii – jakby czekał na nią niecierpliwie i z ulgą witał jej przybycie.

Stała w pobliżu, by mógł widzieć ją kątem oka, i skrzyżowała ręce, próbując wyglądać tak, jakby mogła w tej pozie czekać całe wieki. Wiedziała, że Zack nie ruszy się z miejsca, póki kolejka się nie skończy, miała jedynie nadzieję, że jeśli dłużej tu postoi, to być może trochę go to zdenerwuje i będzie się starał pospieszyć.

Kilka minut później spojrział na nią z uśmiechem i marszcząc krzaczaste sztuczne brwi, zapytał:

– Jest pani pewna, że renifera trzeba znowu nakarmić?

Brandi z największym wysiłkiem panowała nad sobą.

– Obawiam się, że tak, Święty Mikołaju.

– I zesłała pani aż z góry, żeby mi pomóc? Jaka pani mądra.

Roczne dziecko, które trzymał na kolanach, zaczęło gaworzyć płaczliwie i matka zabrała je.

– Pięknie dziękuję. Życzę miłej przerwy. – Mrugnęła do Brandi. –

Założę się, że wiem, co chciałaby pani otrzymać od tego wspaniałego Mikołaja w prezencie gwiazdkowym.

Brandi poczuła, że się czerwieni, przypominając sobie to, co powiedziała Casey na temat widocznego ponoć wczoraj „iskrzenia” pomiędzy nią a Zackiem. Wnioski, które wyciągnęła, były absolutnie idiotyczne. Podobnie jak głupio aluzyjny ton tej oto młodej matki, której się wydawało, że pewne odczuwalne napięcie miało romansowe tło. Opuściła jednak wzrok i nie odważyła się podnieść oczu, chociaż czuła, że Zack się uśmiecha, najwyraźniej ciesząc się z jej zażenowania.

Tej krótkiej wymianie zdań przysłuchiwało się następne dziecko z kolejki. Dziewczynka podeszła do Zacka, oparła ręce na biodrach i oświadczyła:

– Święty Mikołaj jest tylko dla dzieci. Tak mówi moja mamusia. Duzi ludzie nie powinni cię o nic prosić.

Zack ściągnął brwi.

– Niby dlaczego? Duzi ludzie też mają marzenia. – Weszło spojrzał na Brandi. – A pani czego by sobie życzyła na Gwiazdkę?

– Żeby Nowy Rok przyszedł trzy tygodnie wcześniej.

Zack aż się zakrztusił i upłynęło dobre pół minuty, nim ochłonął i zajął się następnym dzieckiem, a Brandi wycofała się z ulgą. Dobrze przynajmniej, że nie zachciało mu się zadać jej przy ludziach dalszych tego rodzaju osobistych pytań.

Rolę Świętego Mikołaja grał natomiast znakomicie. Opanował zasady, a poza tym był znakomity aktorsko. Nie było zabawki, której by nie znał, a prośby niektórych dzieci wymagały naprawdę dobrego rozeznania. Nie tylko zresztą wysłuchiwał prośb, ale starał się dowiedzieć, dlaczego dziecko wybiera właśnie taki, a nie inny prezent.

Przestąpiła niecierpliwie z nogi na nogę.

– To czarujące, Święty Mikołaju, ale...

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Mam rozumieć, iż uznała pani dla odmiany, że robię coś właściwie?

– I tak, i nie. Nie widzę sensu w pytaniu dziecka, dlaczego wybiera taką a nie inną zabawkę.

– Usiłuję się upewnić, czy rzeczywiście o niej marzy, czy też jedynie uległo presji telewizyjnych reklam albo opinii kolegów.

Matka czekająca w kolejce pokiwała aprobuszującą głową.

– W ubiegłym roku mój syn dostał wszystko, o czym podobno marzył, a potem żadną z tych kosztownych zabawek w ogóle się nie bawił. Byłam szczerze zdziwiona. Bardzo dziękuję, Święty Mikołaju, że jest pan tak dociekliwy.

Zack triumfował. „A widzisz? Może jednak wiem, co robię” – mówiło jego spojrzenie, choć miała wrażenie, że wbrew pozorom chodzi mu przede wszystkim o granie na zwłokę po to, żeby ją zmęczyć. W końcu jednak wszystkie dzieci odeszły zadowolone i zostali tylko we dwoje. Zack wstał, wyprostował się i schował swój oprawiony w skórę notes do dużej kieszeni.

– Muszę powiedzieć, że chętnie zrobię sobie przerwę. Ten fotel nie jest taki wygodny, na jaki wygląda. Idziemy na kawę? Tym razem stawiam ja.

W barku pracowała ta sama dziewczyna co wczoraj.

– Ho, ho – mruknęła do Brandi. – Tak dzień po dniu? To staje się już zwyczajem.

Genialnie, pomyślała Brandi. Jeśli Casey się nie myliła, w sklepie plotkowano już na całego, a nim zajdzie słońce, z dwóch kaw zrobi się romans. Jeśli zaś plotka wymknie się z Oak Park i obleci całą sieć, to niedługo będzie się mówić, że wyjechali razem na biegun północny.

Zack zamieszał cukier i przyjrzał się jej z namysłem.

– A zatem, Brandi, co byś chciała na Gwiazdkę?

Postanowiła nie zauważać, że mówi jej po imieniu, podejrzewając, iż jakikolwiek komentarz z jej strony mógłby go wyłącznie prowokować.

– Nie siedzisz teraz w fotelu Świętego Mikołaja. Zapomniałeś?

Udał, że nie słyszy.

– Może szmaragdowe kolczyki? Pasowałyby do tych twoich złocistorudych włosów i jasnej karnacji.

– Nie sądzę, żeby Święty Mikołaj podarował mi szmaragdy.

– Hm. To prawda... a przynajmniej nie ten, którego masz teraz przed sobą. Prawie się nie znamy, więc byłoby to z mojej strony niestosowne, gdybym dał ci w prezencie biżuterię. – Spojrzał na jej pierścionek na lewej ręce. – I co by na to powiedział pan Ogilvie? Powiedz mi... jest w ogóle jakiś pan Ogilvie?

Tego już za wiele, pomyślała szybko.

– Nie rozumiem, po co ci ta wiadomość.

– Tak trudno ci się domyślić? No nic, nieważne. Na pewno jest coś takiego, czego byś sobie życzyła. Na przykład pokoju na całym świecie. –

Strzelił palcami. – Już wiem. Żeby na Boże Narodzenie spadł śnieg!

– Za późno – stwierdziła kwaśno. – I tak nic by to nie dało. Gdyby popadało w tym tygodniu, to owszem. Centymetr śniegu sprawiłby ludzi w świąteczny nastrój i sprzedaż wzrosłaby przynajmniej o dziesięć procent, Zack zmarkotniał i pochylił głowę.

– Ale nie więcej niż centymetr. – Podniosła filiżankę do ust. – Inaczej zrobi się błoto, będą korki i ludzie zostaną w domach.

– Nie masz szczególnego sentymentu do świąt.

– Też byś go stracił, gdybyś przepracował w sklepie dziesięć sezonów.

Wyglądał na zdziwionego.

– Pracujesz już dziesięć lat? W twoim wieku?

– Owszem. W moim wieku. Zaczęłam pracować w Tyler-Royale na zleceniach, kiedy jeszcze chodziłam do szkoły średniej. Pamiętam, że przyjęli mnie właśnie w samym środku sezonu świątecznego... Nie przysłałam tu jednak po to, żeby rozmawiać o sobie. Przyniosłam ci grafik aż do końca miesiąca.

Zack wyjął notes i otworzył go.

– Aha, właśnie. Nie sądzisz, że powinieneś obywać się bez notesu?

– Dlaczego? – Najwyraźniej nie zamierzał się spierać, lecz był zdziwiony.

– Nie potrzebuję ci chyba tłumaczyć, że Święty Mikołaj pamięta wszystkie słowa i uczynki dziecka. To ważny element tajemnicy.

– Chcesz powiedzieć, że nie słyszałaś nigdy o staruszku robiącym sobie notatki? Wiesz co, Brandi? Cofam to, co powiedziałem wcześniej. Ty nie tylko nie masz sentymentu do świąt. Ty ich szczerze nie znosisz.

Nagle ogarnął ją niepokój i złość. Na miłość boską, nie była przecież niegodziwa, a tak ją traktował.

– Szczerze mówiąc, nie rozumiem, co dobrego miałyby wynikać z zapisywania życzeń dzieci. Przecież nie będziesz chodził w Wigilię po domach z workiem wymarzonych prezentów. A może będziesz?

– Oczywiście, że nie.

– No właśnie. Jak byś zresztą mógł, skoro nie znasz nawet nazwiska dziecka ani adresu rodziny. Wychodzi więc na moje. Zapisywanie tego wszystkiego to strata czasu i papieru.

Sięgnęła po notes, gubiąc przy tym biały goździk, który odpiął się od klapy zielonego żakietu. Zack jednak był pierwszy. Notatnik spoczął znowu



na dnie jego przepastnej kieszeni.

– Przeciwnie – odpowiedział kwaśno. – Robienie notatek sprawia, że dziecko czuje, iż słucham go z uwagą. Wie, że Święty Mikołaj nie zapomni o jego prośbach, ponieważ zapisał je w swojej Księdze. Bardzo ci dziękuję za zainteresowanie, lecz będę pracował tak jak do tej pory.

Dalsza dyskusja na ten temat nie miała sensu. Sprawa była zbyt błaha, by wydawać polecenie służbowe. Mogła mu zakazać używania notesu w pracy, ale po co? Tymczasem wyciągnął rękę, rozprostował leżący na serwecie goździk i wpiął jej w klapę. Mogłaby przysiąc, że poczuła ciepło jego palców na obojczyku. Zadziałała oczywiście jedynie wyobraźnia, lecz wrażenie było przejmujące.

– Wspominałaś coś o planie pracy dla mnie – przypomniał.

Wyjęła natychmiast z kieszeni rozkład godzin pracy Mikołajów i podsunęła mu go przez stolik.

– Twoje kratki zaznaczyłam na czerwono.

Będzie się sprzeczał? – pomyślała, patrząc na niego. A może groził? Rozgniewa się, czy próbuje negocjować?

Prześledził uważnie stronę, po czym podniósł wzrok. Jego oczy wydały się jeszcze ciemniejsze niż zwykle.

– Wstawiłaś mnie wszędzie tam, gdzie wcześniej nie planowałaś pracy dla Świętego Mikołaja...

– Owszem. Ale skoro część tych godzin i tak sam sobie wyznaczyłeś, pomyślałam, że również wieczory będą ci odpowiadać.

– Jesteś bardzo wspaniałomyślna, ale...

Brandi uśmiechnęła się.

– No widzisz. Dałam ci więcej godzin niż innym Mikołajom, mam więc nadzieję, że nie będziesz się spierał. Inaczej mogliby się poczuć wyrolowani.

– Wątpię, żeby mi zazdrościli, widząc, jak te godziny są ułożone. – Ponownie spojrzął na kartkę. – Dwie rano, jedna przed samym zamknięciem. O tak, będę zajęty!

– Jeśli ten plan ci się nie podoba...

– Skądże znowu. Nie mogę wprost wyjść z podziwu. Między jednym posiedzeniem a drugim zrobię sobie wszystkie świąteczne zakupy.

Brandi poczuła się odrobinę nieswojo. Plan, który dla niego przygotowała, był wyjątkowo paskudny. Nie dość, że nie zostawiła mu wolnej nawet połowy dnia, kiedy to mógłby pozałatwiać swoje sprawy, to

jeszcze suma tych porzucanych godzin nie składała się na pracę w pełnym wymiarze. Czy nie powinien przynajmniej próbować zmienić jej decyzji, poprosić o rozsądniejszy rozkład? Obserwowała go uważnie. Uśmiechał się tak swobodnie, że aż ją to zaniepokoiło.

– Mogę naturalnie rozbić namiot na parkingu, żeby mieć pewność, że się nie spóźnię na żadne z moich licznych przedstawień – powiedział spokojnie, ale ton jego głosu zdradzał, że jest poirytowany.

Brandi rozluźniła się. A więc jednak trochę go to poruszyło. Nie był takim sangwinikiem, za jakiego pragnął uchodzić. Teraz zapewne spróbuje negocjować. Udowodniwszy to, co chciała, gotowa była pójść na kompromis. Przynajmniej raz mogła z nim rozmawiać z pozycji silniejszego.

– Dlatego też dałam ci rozkład na cały miesiąc – wyjaśniła słodkim głosem. – Żebyś mógł sobie pewne rzeczy zaplanować.

– Zgodnie z grafiką w tej chwili powinienem już pracować, zmykam więc, bo jeszcze mnie wyrzucisz za niesubordynację.

Złożył kartkę z planem, włożył ją do szerokiej kieszeni i nie oglądając się za siebie, wyszedł z barku.

Brandi czuła się jak zmyta. Ogarnęło ją poczucie winy. Rozkład, jaki mu dała, był gorzej niż paskudny; był bezduszny. Nigdy dotąd nie skazała pracownika na taką gehennę i nie pozwoliłaby żadnemu kierownikowi działu na podobne traktowanie ludzi. Czy można wymagać od kogoś, by był na każde zawołanie przez okrągły miesiąc? Owszem, pomyślała ze złością. Można. Od kierownika sklepu. Wobec wszystkich innych żądanie pełnej dyspozycyjności było nadużyciem. Dlaczego zatem Zack nie grymasił? Dlaczego nie próbował niczego zmienić? Czyżby miał zamiar pójść ze skargą prosto do Rossa? Nie sądziła, żeby tak było. Z jej dotychczasowych obserwacji wynikało, że nie jest to człowiek skrywający swoje reakcje, ani taki, który posługuje się innymi do rozgrywania własnych spraw. Nie zawahał się postawić na swoim, gdy chodziło o korzystanie z notesu, dlaczego więc miałby się przestraszyć rozmowy na temat godzin pracy? A może po prostu znalazł się w większej biedzie, niż sądziła? Może naprawdę ta praca była dla niego ostatnią deską ratunku? Ze ściśniętym sercem starała się sobie przypomnieć, jak dokładnie wyglądał plan. Na najbliższe dni nie był jeszcze taki najgorszy. Potworne, wielogodzinne „okienka” zaczynały się dopiero podczas weekendu. Postanowiła, że prześledzi, jak się to będzie układać przez dzień lub dwa, a potem... No cóż. Gdyby musiała się wycofać,

nie byłby to pierwszy raz, kiedy przyznawała się do błędu. Tyle tylko, że na samą myśl o tym, iż miałyby przeprosić Zacka Forresta, czuła się niewyraźnie.

### Rozdział 3

Brandi, oparta o płotek ogródka Świętego Mikołaja, przyglądała się z zachwytem uroczej scenie. Białowłose Mikołaj zachęcał siedzące mu na kolanach dziecko, żeby pobawiło się jego długą brodą. Szarpnęło mocno i staruszek prawie krzyknął. Nie musiał niczego udawać.

– Mamusiu, mamu – zawołał uszczęśliwiony berbec. – Broda jest prawdziwa. To jest prawdziwy Święty Mikołaj!

Szkoda, że Zack tego nie widzi, pomyślała. Przydałoby mu się zobaczyć autentycznego fachowca. Nie tęskniła za jego widokiem, chociaż nie widziała go od wczorajszego ranka. Podejrzewała zresztą, że starannie jej unika, i nie byłaby wcale zaskoczona, gdyby w ogóle nie pojawił się w pracy, tylko z samego rana pojechał spotkać się ze swym przyjacielem Claytonem. Zastanawiała się nawet przez moment, jak zareagowałby Ross. Był człowiekiem rozsądnym, ale miała stracha.

W końcu wysłała Dorę, żeby sprawdziła, czy wszyscy pracownicy odbili kartę zegarową, i dopiero gdy sekretarka wróciła z wiadomością, że Zack stawiał się na poranną zmianę, odetchnęła z ulgą. Cały ranek i część popołudnia spędziła w gabinecie nad papierkową robotą, piętzącą się na jej biurku od ubiegłego tygodnia. Zapadał już zmierzch, gdy wybrała się na obchód. Kolejny Święty Mikołaj, ten w okularach, brał na kolana dziecko. Obserwowała go przez moment z przyjemnością, gdy w pewnej chwili usłyszała niski, znajomy głos. Odwróciła się i znalazła się twarzą w twarz z Zackiem.

– Co ty tutaj robisz?!

Natychmiast ugryzła się w język. Niby dlaczego miało ją to obchodzić? Chciał się przyjrzeć pracy Mikołaja? W porządku. To jego sprawa.

Zackowi drgnął kącik ust, a oczy błyszczały humorem.

– Właśnie skończyłem swoje pół godzinki. Umieściłaś mnie w przerwie na kolację tego oto kolegi. Nie pamiętasz?

Nie pamiętała. Dlaczego nie miała choćby tyle sprytu, żeby zatrzymać sobie kopię tego idiotycznego planu? Dlatego – przypomniała sobie – że jej samej wydawał się tak niewydarzony, iż nie przewidziała, że kiedykolwiek znajdzie zastosowanie.

Musiał właśnie wyjść z maleńkiej szatni za chatką Świętego Mikołaja,

gdyż ubrany był zwyczajnie. Tak bardzo przywykła już do jego aksamitnego czerwonego stroju i białej brody, że widok szarych spodni i swetra, a przede wszystkim ostro zarysowanej twarzy, zaskoczył ją. Zack wyglądał na zmęczonego. Nie było śladu dołeczka. Gdzie on właściwie powinien być – po lewej czy po prawej stronie ust? Nie mogła sobie przypomnieć i aż się na siebie rozzłościła. Co za głupie myśli!

– Jest dobry – powiedział, patrząc na Mikołaja w okularach.

– No pewnie. Inaczej bym go nie zatrudniła. – Była zaskoczona tym, że aż tak się zainteresował.

– Uważaj... chyba nie chcesz, żeby dzieci usłyszały.

– Dziękuję za przypomnienie – odparła przesłodzonym tonem, zirytowana na siebie za nieuwagę. – Będę ostrożniejsza, więc nie musisz mnie już pilnować. Jesteś wolny...

– A dokąd twoim zdaniem miałbym teraz pójść?

– Chyba nie sądzisz, że uwierzyłam, że rozbiłeś namiot na parkingu. Pewnie wybierałeś się do domu. Skoro skończyłeś pracę...

– Nie skończyłem. Mam dwie godziny przerwy, a potem pół godziny siedzenia przed samym zamknięciem.

– Pomyślałam tak, bo nie jesteś przebrany...

– A chciałabyś, żeby jeszcze jeden Święty Mikołaj przechadzał się po sklepie?

– Nie.

– Mam skłonność do klaustrofobii, toteż perspektywa przesiedzenia dwóch godzin w szatni nieszczególnie mi odpowiada. Już samo częste przebieranie się w tak małym pomieszczeniu jest dosyć męczące.

Brandi przygryzła wargę, zastanawiając się, jak mu powiedzieć, że naprawdę nie miała zamiaru aż tak obrzydzać mu życia.

– Muszę przyznać – dodał, nim zdążyła znaleźć odpowiednie słowa – że prawie się już obkupiłem na święta. Zabijam czas, przeglądając półki. A ty? Wychodzisz już do domu?

– Nie. Robię swój zwykły obchód. Staram się zajść do każdego działu przynajmniej dwa razy dziennie.

– A dzisiaj? – Zagadkowo uniósł brew. – Czy to twoja pierwsza rundka, czy też unikałaś działu zabawkarskiego?

– Niczego nie unikałam. Jestem zavalona pracą i siedziałam u siebie.

Nie musiała mu się oczywiście z niczego tłumaczyć, ale pytanie trocheja

zmieszało. Czy nie dlatego pracowała cały dzień jak szalona?

– Dzięki za wyjaśnienie. Bo już myślałem, że może nie chcesz się na mnie natknąć.

Zmieszanie zamieniło się w prawdziwą irytację. Nie dała Forrestowi powodów do tego rodzaju spekulacji i najlepiej będzie od razu to uciąć. Byle spokojnie, ostrzegła się w duchu.

– Niby dlaczego miałabym nie chcieć cię widzieć?

W jego oczach zaigrał uśmiech.

– Czyli że chcesz? Bardzo się cieszę. To znaczy, że moje życie jest jeszcze coś warte.

Brandi zamrugła, nie wiedząc, co odpowiedzieć, ale Zack był bez litości.

– A zatem, skoro oboje planowaliśmy przechadzkę po sklepie, możemy pospacerować razem. Czy to nie miłe? W którą idziesz stronę?

Cokolwiek by odpowiedziała, i tak bez wątpienia dostosowałaby się tylko po to, żeby ją zirytować. Robił to zresztą znakomicie od samego początku. W konkursie na pracownika, który potrafi najudatniej zirytować swego szefa, zdobyłby pierwsze miejsce.

– Szczerze mówiąc, nie planowałam spaceru. Spieszę się.

– Chcesz mieć to z głowy i lecieć do domu?

– Niezupełnie. Będę tu aż do zamknięcia, jak zawsze w sezonie. Ale mam jeszcze parę spraw. Nie chciałabym cię pospieszać, więc...

– Zapewne zrobiłaś już zakupy na święta.

– Owszem.

– Wszystkie? A już myślałem, że ktoś, kto tak jak ty nie lubi świąt, odkłada zakupy do ostatniej chwili. Okazuje się, że nie miałem racji. Jesteś cudem przedsiębiorczości, Brandi.

– Cieszę się, że jesteś w dobrym nastroju, ale...

– Zastanawiam się, jak mogłem się tak pomylić. Chyba że... Ach, rozumiem. Założę się, że dajesz wszystkim znajomym w prezencie talony Tyler-Royale.

Odgadł prawdę, czym zdenerwował ją jeszcze bardziej.

– A jest w tym coś niewłaściwego?

– Nie przypuszczam.

Miała wrażenie, że powiedział to bez przekonania, jakby wyrzucał jej brak dobrych manier. Odsunęła się od ogrodzenia.

– Miło się z tobą rozmawia, Zack, ale skoro nie idziemy w tym samym kierunku... – Ruszyła szerokim przejściem w stronę działu z artykułami gospodarstwa domowego. Zack dotrzymywał jej kroku.

– Dlaczego tak bardzo nie lubisz świąt? Naprawdę chciałbym to wiedzieć. Jeśli chodzi tylko o to, że w sklepach w sezonie można oszaleć, to dlaczego nie zmienisz zawodu?

– Mam nadzieję, że nie będę przez całe życie zajmować tego samego stanowiska. Ale póki co, żyję pracą przez jedenaście miesięcy w roku i nauczyłam się jakoś znosić czas świąt.

– Żyjesz pracą? – zapytał, jakby nie rozumiał albo nie dowierzał.

– Co w tym takiego dziwnego? Mam też inne zainteresowania, ale w sezonie nie ma na nie czasu. A może uważasz, że dla kobiety praca nie może być najważniejsza?

– Nie ośmieliłbym się wydawać sądów tak ogólnych. Chodziło mi tylko o to, że jeśli jest tak, jak mówisz, to znaczy, że żaden pan Ogilvie nie istnieje.

Było to stwierdzenie, nie pytanie, i chociaż właściwie mogła zachować milczenie, powtórzyła za nim jak echo:

– Nie istnieje.

– A istniał?

Przystanęła przy piętrzącym się stosie mikserów.

– Słucham?

– Pytałem, czy...

– Wiem, o co pytałeś. Moje osobiste życie nie powinno cię obchodzić.

Wzruszył ramionami.

– W porządku. – Podniósł jedno z pudełek. – Jak myślisz, czy moja siostra chciałaby dostać sokowirówkę?

– Nie znam twojej siostry, więc skąd mam wiedzieć – ucięła krótko, ale Zack nie dał się zbić z tropu.

– Jedną już jej kupiłem, ale tak sobie teraz myślę, że nie była najlepsza. Albo, wiesz co... podaruję ją tobie. Na pewno odpowiadałby ci taki praktyczny prezent. Zresztą, mam mnóstwo czasu, żeby to przemyśleć. Została mi jeszcze godzina do rozpoczęcia kolejnego dyżuru.

Problem tego przekłętego grafiku wracał zatem raz jeszcze. Pamiętała jedynie to, że w porównaniu z dzisiejszym dniem, który i tak był piekłem, może być już tylko gorzej. Powinna wycofać się z tej bzdury – im szybciej,

tym lepiej.

– Posłuchaj, Zack – zaczęła niepewnie. – Jeśli chcesz uprościć swój plan, zgadzam się. Tak naprawdę nie potrzebujemy Świętego Mikołaja w czasie przerwy obiadowej i nie ma sensu, żebyś czekał dwie godziny na swoje dwa kwadransy przed zamknięciem.

Nie kiwnął głową ani się nie uśmiechnął czy zmarszczył. Brak reakcji z jego strony bardzo ją zaniepokoił. Zachowywał się tak, jakby w ogóle jej nie słyszał. Spróbowała zażartować.

– Wszystkie grzeczne dzieci śpią już wtedy w swoich łóżeczkach. Jeśli więc chciałbyś już iść do domu...

– Zabierasz mi godziny?

– Próbuję dać ci przerwę na oddech!

Pokręcił głową, jakby go czymś zawiodła albo jakby nie dowierzał własnym uszom.

– Nie, Brandi – powiedział. – Ani mi się śni prosić cię o specjalne traktowanie. Wyznaczyłaś mi godziny pracy, a ja nie narzekam.

Zamrugła z wrażenia.

– W porządku – wysapała. – Sam tego chciałeś. Proszę bardzo.

Uśmiechnął się.

– Nie prosisz mnie przecież o nic nadzwyczajnego. Jestem pewien, że będziesz w pracy w tych samych godzinach co ja. Czy nie tak?

Figlarny dołeczek nie zniknął z lewego policzka. Brandi chciało się krzyknąć na siebie za to, że w ogóle to zauważała.

Zbliżała się pora zamknięcia sklepu. Znała nastrój tego kwadransa tak dobrze, że nie musiała nawet wychodzić ze swego gabinetu ani patrzeć na zegarek, żeby to wiedzieć. Niemal słyszała buczenie opróżnianych i wyłączanych kas, milknięcie komputerów i wygaszanie świateł. Podpisała ostatnią partię listów i odłożyła je na bok do wysłania rano przez Dorę. Odpięła biały goździk, wymęczony dwunastogodzinnym trwaniem w klapie kostiumu, i wrzuciła go do kosza stojącego przy biurku. W pozostałych biurach było już ciemno, chociaż w pokoju pracowników parę osób przebierało się jeszcze. W sklepie nigdy nie wygaszano wszystkich świateł, lecz bez jaskrawego oświetlenia poszczególne działy wyglądały inaczej. Po wyłączeniu świątecznej muzyki, a zwłaszcza kolęd, puszcanych bez przerwy przez okrągły dzień, zapanowała błogosławiona cisza. Nieczynne



były już też ruchome schody. Brandi powoli zeszła na dół, rzucając rutynowe spojrzenie na cały parter. W dziale z zabawkami dostrzegła czerwony strój; opierając się o płótek przed chatką Świętego Mikołaja, Zack rozmawiał z grupką dzieci. Co one tu jeszcze robią, pomyślała z rozdrażnieniem, wmawiając sobie, iż obecność Zacka zupełnie jej nie interesuje.

Nagle zawołał ją ochroniarz, sprawdzający zamknięcia w dziale ze sprzętem elektronicznym. Doberman u jego nogi postawił uszy i spojrzał na nią z wyraźnym zainteresowaniem. Brandi zachowała rozsądny dystans; pies był szkolony, ale wystarczyło jedno słowo strażnika, by zamienił się w prawdziwą bestię.

– Szef ochrony pasażu ostrzegł mnie, że niedawno w pobliżu parkingu kręcił się jakiś podejrzany typ. Zalecają, żeby wszyscy pracownicy opuścili teren głównym wyjściem. Święty Mikołaj powiedział, że odprowadzi panią do samochodu.

Zack pożegnał już dzieci, które właśnie szły do wyjścia, lecz sam nie ruszał się z miejsca.

– Jesteś już gotowa? – zapytał, gdy podeszła bliżej.

– Nie kłopotz się o mnie.

– A co to za kłopot? Przecież idziemy w tę samą stronę.

– Świetnie – mruknęła pod nosem. – Ale chyba musisz się jeszcze przebrać.

– Znowu? Dziękuję pięknie. Tym razem, jak już będę zdejmował te szatki, to tylko po to, żeby wskoczyć pod gorący prysznic.

Poczuła nagle, że palą ją policzki. Nie rozumiała siebie. Przecież nie powiedział nic nadzwyczajnego. Stwierdził po prostu fakt.

– No, to nie pozwól, aby ktokolwiek cię tu zatrzymywał.

– Jedyne, co mnie zatrzymuje, to to, że stoimy tu i gadamy.

Brandi ruszyła do wyjścia.

– Odczep się – mruknęła pod nosem. Kiedy precyzyjnie się pod prawie już opuszczoną do połowy drzwi metalową kratą, powiedziała cierpliwie: – Naprawdę nie musisz mnie odprowadzać do samochodu. Taki alarm zdarza się nam od czasu do czasu, ale nigdy jeszcze nic się nie stało.

– A jeśli nie dojdiesz do samochodu i jutro znajdą twoje zwłoki...

W ogromnym pasażu panował spokój. Słychać było jedynie stukanie obcasów i cichy szmer fontanny. Kiedy podeszli do głównego wyjścia, wiatr

wmiótł do środka trochę śniegu. Brandi zadygotała. Zamknięta przez cały dzień w budynku, nawet nie pomyślała o pogodzie.

– Nie wiedziałam, że pada. A to dopiero.

Zack skłonił się nisko.

– Cała przyjemność po mojej stronie, madame. Zdaje się, że tego sobie pani życzyła.

Zerknęła na niego z ironią.

– Święty Mikołaj się znalazł. Nie masz palta?

– Zostawiłem w samochodzie.

– Bardzo inteligentnie.

– Mój strój jest wyjątkowo ciepły. Miałem zresztą o tym z tobą pomówić. Czy nie dałoby się zakręcić ogrzewania przy chatce albo przynajmniej przygasić światła? Udusić się można.

Wzruszyła ramionami.

– Może gdybyś miał na sobie mniej futra...

Strzepnął parę płatków z białej poły.

– Mówisz o tym? To sztuczne. Prawdziwe futro mogłoby uczułać.

– Powinnam była wiedzieć.

– A poza tym, nie mnie jednego męczy ta temperatura.

– Zdażyłeś się już porozumieć z innymi Mikołajami? Jeszcze trochę, a założycie związek, a jak się wam coś nie spodoba, to zorganizujecie pikietę.

– Niezły pomysł. Muszę zacząć spisywać swoje żądania... Gdzie jest twój samochód?

Pokazała ręką najodleglejszy rząd na parkingu.

– Przepraszam, że to taki kawał, ale sam chciałeś.

– A czy ja się skarżę?

Na pewno jest mu zimno, pomyślała. Śnieg skrzył się na jego aksamitnej czapie, kilka płatków osiadło na rzęsach. Dopiero teraz zauważyła, jakie są długie i ciemne. Naprawdę powinna go jak najszybciej odesłać do pasażu lub prosto do samochodu, zamiast wlec ze sobą i narażać na zmarznięcie. Tyle że wszelka perswazja i tak nie miałyby sensu.

– Mówiąc, że w sklepie jest za ciepło, miałem na myśli nie tylko nas, Mikołajów. Dzieci też się pocą, bo najczęściej są grubo ubrane. Wydaje mi się, że zmniejszenie ogrzewania wyszłoby na dobre wszystkim, również klientom.

– Czemu zatem nie zaczniesz ich o to pytać? Zapisuj swoje spostrzeżenia

w notesie, a po dwóch tygodniach złóż raport. Na pewno go rozważę.

Zack jednak nagle jakby ogłuchł. Patrzył gdzieś w bok. Brandi podążyła za jego spojrzeniem i zauważyła kobietę ciągnącą za rękę dziecko. Zmierzała w stronę zaparkowanego samochodu, lecz dziecko, mniej więcej sześciu-, siedmioletnie, opierało się, odwracając głowę w stronę Zacka.

– Święty Mikołaj! Święty Mikołaj! – powtarzało bez przerwy.

Kobieta wyraźnie traciła cierpliwość.

– Peggy, nie. Powiedziała ci, że przyszedliśmy tu tylko popatrzeć na światełka.

– Ale ja chcę porozmawiać ze Świętym Mikołajem.

– A co byś chciała mu powiedzieć? – zawołał Zack.

Brandi chwyciła go za rękaw.

– Przestań. Nie widzisz, że matka nie życzy sobie kontaktu? Nasi Mikołaje nie podchodzą sami do dzieci. To wbrew zasadom firmy.

– Jestem po pracy, Brandi. Zapomniałaś?

Nim zdążyła zaprotestować, przemierzył długimi krokami zaśnieżoną przestrzeń i przykucnął przed dziewczynką.

– Przyjdiesz mi jutro powiedzieć, co chciałabyś dostać na Gwiazdkę?

– Nie. – Dziecko wydobyło z siebie zaledwie szept.

– A dlaczego? – zapytał bardzo spokojnie. – Chyba się mnie nie boisz? Mnie się nie trzeba bać.

– Nie może pan ofiarować mojej córce tego, czego by chciała – odezwała się kobieta.

W jej głosie było tyle goryczy a zarazem godności, że aż zwróciło to uwagę Brandi. Dopiero teraz uważniej przyjrzała się matce i dziecku. Zimowe paletko dziewczynki z różową wstążką we włosach było z całą pewnością nienowe i o wiele na nią za duże, a okrycie kobiety wytarte. Żadna z nich nie miała botków.

Zack nie poruszył się. Nie zmieniając pozycji, spojrział w górę.

– Kto to wie – powiedział łagodnie, obejmując ramiona dziewczynki. – Pewne rzeczy są trudne nawet dla Świętego Mikołaja. Ale spróbować zawsze można. No, powiedz mi, Peggy, o co chodzi.

Dziewczynka zerknęła niepewnie na matkę i natychmiast ukryła twarz w fałdach aksamitnego rękawa. To, co powiedziała, zabrzmiało jednak wyraźnie.

– Chcę, żebyś dał mamusi pracę.

Brandi ścisnęło się serce.

Kobieta wbiła wzrok w ziemię. Miała przemoczone buty.

– Popęłniłam błąd, mówiąc Peggy, że w tym roku w naszym domu nie będzie świąt, ponieważ jestem bez pracy. Ciągle o tym myśli. Bardzo państwa przepraszam za kłopot.

Zack wyglądał na głęboko poruszonego. Sam sobie zawinił, pomyślała Brandi. Trzeba mieć odrobinę wyobraźni. Bycie Świętym Mikołajem to nie zawsze zabawa, jak mu się pewnie wydawało.

– Rozumiesz teraz, dlaczego mamy swoje zasady – szepnęła.

Spojrzał na nią niewinnie, jakby nie dosłyszał przytyku.

– Zdaje mi się, że potrzebna ci jest pomoc w pewnych działach?

– Owszem, ale...

– Proszę sobie nie robić jakiegokolwiek kłopotu – wtrąciła się kobieta. – Jeszcze raz bardzo przepraszam. Peggy, chodź już. – Wzięła dziecko za rękę i delikatnie pociągnęła je w stronę samochodu.

Brandi zerknęła na Zacka i powiodła wzrokiem za odchodzącymi.

– Chwileczkę! – zawołała. – Proszę poczekać!

Sięgnęła do torebki po wizytówkę i długopis, po czym napisała: „Uprzejmie proszę znaleźć stanowisko pracy dla...”

– Jak pani godność?

– Theresa Howard – odpowiedziała kobieta z ociąganiem.

Brandi wpisała nazwisko i podała jej kartkę.

– Proszę z tym pójść jutro do kadr. Dom handlowy Tyler-Royale, trzecie piętro.

Kobieta nie posiadała się ze zdumienia. Spojrzała na wizytówkę.

– Och, panno Ogilvie, nie wiem, jak mam dziękować.

Przez moment Brandi obawiała się, że Theresa Howard pocałuje ją w rękę.

– Najprawdopodobniej zaczepi się pani tylko na sezon – powiedziała szybko. – Ale lepsze to niż nic.

Zack nie odezwał się ani słowem. Stali w ciszy, aż Theresa Howard z córeczką wsiadła do samochodu, po czym ruszyli przez parking. Brandi pierwsza przerwała milczenie.

– Nie musisz mi dziękować, Zack – powiedziała, nie patrząc na niego.

– Nie miałem takiego zamiaru.

– Naprawdę? – Zatrzymała się i opierając ręce na biodrach, spojrzała mu

prosto w oczy. – Jak śmiałeś wpakować mnie w taką sytuację?

– W nic cię nie wpakowałem. Zadałem ci jedynie pytanie.

– Bardzo kłopotliwe.

– Być może. Przyznaję, że zrobiłem to celowo. Przecież nie musiałaś jej zatrudniać.

– Tak czy owak, zapewne wreszcie coś zrozumiałaś i bądź łaskaw nie wymądrzać się na przyszłość. Tak się złożyło, że potrzebuję ludzi i pani Howard naprawdę się przyda, ale to nie oznacza, że za każdym razem będę cię wyciągać z tarapatów.

– Rozumiem.

Zabrzmiało to podejrzenie uległe. Spojrzała na niego nieufnie.

– Ta sytuacja uwidacznia najlepiej, dlaczego powinieneś przejść szkolenie. Usiłowałam ci to wyjaśnić już pierwszego dnia, gdy upierałeś się, że to taka prosta praca. Jak można przyrzekać coś dziecku, jeśli się nawet nie wie, o co może poprosić! Czy ty sobie nie zdajesz sprawy z tego, jak mogłeś narozrabiać?

– Nie obiecywałem przecież nic oprócz tego, że spróbuję – sprzeciwił się Zack. – Przecież nie powiedziałem, że dam jej wszystko, o co poprosi.

Przyspieszyła kroku i usiłując go dogonić, pośliznęła się na śniegu.

– Nie powinieneś się w ogóle wtrącać. Widziałeś, że matka sobie tego nie życzy.

Zatrzymał się raptownie i popatrzył na nią z góry. W żółtawym świetle lamp jego strój miał pomarańczowy odcień, a oczy wydawały się ciemniejsze niż kiedykolwiek.

– Wiesz co? – Jego głos brzmiał lekko, niemal beztrosko, lecz było w nim coś niepokojącego. – Mam czasami wrażenie, że ty nie jesteś człowiekiem, ale kimś nie z tej planety... albo maszyną. Tak jest. Robotem. Niemordowanym i nieczułym. Zaraz ci to udowodnię.

Nie zdążyła nawet mrugnąć, gdy wziął ją w ramiona i przyciągnął do siebie tak szybko i mocno, że straciła oddech. Szarpnęła się, ale gdyby nawet była w stanie mówić, i tak nie pozwoliłby jej na to, gdyż nagle zdusił jej sprzeciw gniewnym pocałunkiem. Na moment przestała się szamotać. Chciała, żeby pomyślał, że się poddała, choć tak naprawdę czekała jedynie na sposobność, by się wymknąć. Gdyby chociaż na sekundę rozluźnił żelazny uścisk... Tymczasem jednak jego ramiona obejmowały ją coraz mocniej i mocniej, a usta nie chciały się oderwać. Początkowo drapieżne,

złagodniały i stały się niemal czułe. Odkryła z przerażeniem, że wrażenie przemocy znikło i że niepostrzeżenie sama zaczęła odpowiadać mu całą sobą.

W końcu przerwał pocałunek i przytulił jej głowę do piersi. Czowała ze wstydem, że dobrze zrobił, nie wypuszczając jej z objęć, gdyż w przeciwnym razie nie utrzymałaby się na nogach.

– Muszę przyznać – odezwał się chrapliwie – że robot tak nie całuje.

Powoli odsunął się, podtrzymując ją jeszcze przez chwilę, aż odzyskała siły na tyle, by postąpić krok w stronę samochodu. Potknęła się o coś, co leżało zagrzebane w śniegu, ale nie przyszło jej nawet do głowy, żeby sprawdzić, co to było, dopóki Zack nie podniósł jej torebki. Podał jej potem ramię i milcząc, podeszli do samochodu. Brandi czuła się jak ogłuszona. Nie docierało do niej nic, słyszała jedynie bicie własnego serca i skrzypienie śniegu pod nogami.

## Rozdział 4

Nim dotarła do swojej dzielnicy, napadało tak dużo śniegu, że zrobiło się ślisko i miała pewne kłopoty z zaparkowaniem. Gdyby poproszyło dłużej, rano świat pokrywałyby gruba kołderka, a nie upragnione pół centymetra, które ponoć Święty Mikołaj ofiarował jej w prezencie. Święty Mikołaj... Zack... Nie ma żadnego Świętego Mikołaja, myślała, zamykając za sobą drzwi mieszkania. Dzień pracy skończył się, a wraz z nim problemy związane z pracą. Na przykład problem Forresta. Należało od tego wszystkiego odpocząć, zająć się sprawami osobistymi.

Zrzuciła mokre buty i przejrzała pocztę – trzy rachunki, list od przyjaciółki, katalog poświęcony świątecznym wypiekom, który od razu cisnęła do śmieci – i poszła się przebrać. Dopiero kiedy zamieniła kostium na dżinsy i sweter i włożyła najcieplejsze wełniane skarpetki, poczuła, że całodzienne napięcie zaczyna ją opuszczać. Rozplotła ciasny francuski warkocz i wyszczotkowała włosy, aż nabrały połysku, a następnie wyjęła z uszu maleńkie złote kolczyki i włożyła je do szkatułki na biżuterię. Ściągnęła też z palca pierścionek z diamentem w kształcie obrączki.

„Czy jest w ogóle jakiś pan Ogilvie?” Wczorajsze pytanie Zacka tkwiło w niej jak zadra. Nie spodziewała się go. Nosila ten pierścionek od dwóch lat i do tej pory nie wzbudził w nikim specjalnego zainteresowania. Wiele osób brało ją zapewne za mężatkę, ale nie miało to większego znaczenia, ponieważ uważała swoje życie osobiste za coś, co nie powinno nikogo obchodzić. Dopóki więc nikt nie pytał wprost, dopóty nie widziała powodu do wynurzeń.

Nigdy też nie starała się sprawiać wrażenia, że jest zamężna. Pierścionek kupiła sobie sama w nagrodę za pomyślne ukończenie kursu, po którym otrzymała stanowisko samodzielnego kierownika sklepu. Nie przyszło jej nawet do głowy, że komukolwiek może się to kojarzyć z małżeństwem. To zabawne, jak łatwo ludzie ulegają sugestii. Wystarczyło nosić byle pierścionek na lewej ręce, by powszechnie uznawano to za dowód związku. Chociaż pojawiała się wszędzie sama i nigdy nie zaprosiła do siebie nikogo z pracy, przypuszczano, że jest zamężna. Było jej to zresztą całkowicie obojętne. W życiu, jakie prowadziła, liczyła się wyłącznie praca. Nie było w nim miejsca dla mężczyzny. Bliski związek mógł je jedynie skomplikować;

dawno temu przeszła już przez tę lekcję.

Dlaczegoż więc Zack Forrest tak ją dziś wieczór sobą oszołomił? Na samo wspomnienie pocałunków na parkingu niemal zakręciło się jej w głowie. Swoją dziwną uległość mogła od biedy wytłumaczyć sobie przestraczem i zaskoczeniem, bo przecież ten człowiek właściwie na nią napadł. Ani przestracz, ani zaskoczenie nie wyjaśniały jednak faktu, że sama tuliła się do niego i oddawała pocałunki. Dlaczego nie dała mu w twarz, jak na to zasłużył?

Wszystko dlatego, że jestem sama, pomyślała odważnie. Obojętne, jak udane było jej życie – a przeważnie za takie je uważała – była samotna. W sklepie otaczali ją ludzie, lecz nie szukała przyjaciół wśród swoich pracowników, uważając, że kierownika od personelu winien dzielić pewien dystans. A w domu... Musiała przyznać, że niekiedy jej własne kroki brzmiały w cichym mieszkaniu zbyt głośno i nieraz miała ochotę mówić do ściany, żeby usłyszeć czyjś głos.

Jakkolwiek wyglądała prawda, to, co się stało na parkingu, nie powinno się nigdy powtórzyć. Pozwoliło jej to uświadomić sobie pewne sprawy, ale na tym koniec. Jakby podkreślając tę pointę, rozległ się dzwonek do drzwi. Podniosła się niechętnie, żeby otworzyć, myśląc, że jeśli to jest Zack, to trzaśnie mu drzwiami przed nosem. Ale to nie był Zack. Jej gośćmi były trzy nastolatki sprzedające świąteczne girlandy, żeby zasilić fundusz szkolnego klubu.

– Zbierałyśmy zamówienia w październiku – wyjaśniła jedna z nich – ale nikogo nie było. Została nam jedna girlanda i pomyślałyśmy, że może zechce ją pani kupić. Nie ma u pani żadnych dekoracji, więc...

– Nie ma i nie będzie. Doceniam wasz trud i bardzo chętnie zasilię wasz klub, ale girlandę sobie zabierzcie. Dajcie ją komuś, komu naprawdę się przyda.

Wypisała czek i z ulgą zamknęła drzwi. Przynajmniej z nimi łatwo było sobie poradzić. Bo gdyby to był Zack... Do licha! A niby po co miałyby tu przyjeżdżać? Gdyby chciał jej coś jeszcze powiedzieć, powiedziałby to na parkingu. Co za idiotyczne przypuszczenie! Zapewne brał teraz swój wymarzony prysznic albo popijał zimne piwo. Nie wiadomo dlaczego znów na myśl o tym zrobiło się jej gorąco.

– Nic mnie to nie obchodzi – powiedziała głośno do siebie i nagle chwyciła się za głowę. Wcale nie chciała, żeby tu był!



Śnieg na ulicach sprawił, że poranny dojazd do pracy trwał dłużej, niż przewidywała. Kiedy weszła do działu meblarskiego, w którym odbywało się comiesięczne spotkanie pracowników, wszystkie krzesła były zajęte, a kanapy wypełnione do ostatniego miejsca. Sklep otwierano za godzinę i część osób już się przebrała, ale druga zmiana i ci, którzy mieli dziś wolne, siedzieli w zwykłych okryciach. Jak za każdym razem, gdy zbierał się cały personel, tak i teraz Brandi nie mogła się nadziwić, ilu ludzi trzeba, by prowadzić dom handlowy tej wielkości. Dzisiaj tłum był i tak mniejszy niż zwykle. Przyczyniły się do tego opady śniegu i grypa.

Nie zdawała sobie sprawy, że od chwili, gdy spostrzegła Zacka, patrzy przez cały czas tylko na niego. Zorientowała się dopiero wtedy, kiedy odpowiedział jej spojrzeniem i uśmiechnął się.

Ogarnęła ją złość, choć tak naprawdę trudno było go nie zauważyć. Pojawił się już przebrany do pracy, a czerwony strój, kontrastujący z zielonym obiciem fotela, który sobie wybrał, aż kłuł w oczy. Nie odwzajemniła uśmiechu, a kiedy demonstracyjnie podciągnął rękaw i spojrzał na zegarek, jakby ganiąc ją za spóźnienie, oparła się o słup z boku sali i próbowała udawać, że ktoś taki jak Zack Forrest w ogóle nie istnieje. Z trudem skupiła uwagę na Casey Amos, która prowadziła zebranie, lecz po paru minutach uświadomiła sobie, że jej wzrok znowu wędruje w stronę Zacka.

Uchwyciwszy jej spojrzenie, zaprosił ją gestem. Podejrzewała, że chce, by usiadła na oparciu jego fotela. Ładnie by to wyglądało, pomyślała i pokręciła przecząco głową, po czym przeszła do tylnej części sali.

– Ci z państwa, którzy chcą wziąć udział w wymianie prezentów, powinni się zdecydować do poniedziałku. We wtorek będziemy ciągnąć losy.

Zack rozejrzał się, podniósł i powoli ruszył w stronę Brandi. Serce zabiło jej mocniej. Czowała, że z utęsknieniem czeka na tę chwilę, gdy znowu znajdzie się przy niej. Bzdury, skarciła się w myślach. To, co zdarzyło się ubiegłego wieczoru, było wyłącznie szaleństwem zrodzonym z wzajemnej irytacji i frustracji, i niczym więcej. A teraz niejaki Forrest nie powinien wywoływać w niej żadnych emocji.

– Unikasz mnie? – zapytał cicho, stając obok.

– Słucham?

– Nie zgrywaj się. Unikasz mnie.

– Nie.

– No, to dlaczego nie skorzystałaś z mojego zaproszenia? Jako dzentelmen chciałem ci ustąpić miejsca. Feministka!

– Jestem jedynie honorowym członkiem stowarzyszenia pracowników, więc staram się nie rzucać w oczy.

– Ach tak. Zdawało mi się, że nie masz nabożeństwa do życia towarzyskiego i klubowego.

– To nie jest klub. Z formalnego punktu widzenia, jako kierownik, nie jestem pracownikiem sklepu, tylko korporacji, której własnością jest cała sieć domów handlowych, i z tego względu nie wolno mi należeć do zrzeszenia pracowników. Tyle że mnie zapraszają.

Uśmiechnął się szeroko.

– Założę się, że ci to pochlebia.

Spróbowała zignorować złośliwość i w ogóle jego obecność. Było to jednak bardzo trudne w sytuacji, gdy znajdował się tak blisko, że czuła lekki, drażniący zapach jego wody kolońskiej.

– A może bałaś się, że znowu cię pocałuję? – wymruczał pod nosem. – Zapewniam, nie miałem takiego zamiaru.

– Domyślam się.

– W każdym razie nie przy ludziach. Na osobności może i udałoby ci się mnie skusić.

Brandi poczuła pulsowanie w skroniach.

– Spróbuj mnie tylko dotknąć – ostrzegła – a coś takiego ci zrobię, że... I wszystko mi jedno, czy Clayton jest twoim przyjacielem, czy nie. Zrozumiałeś, Forrest? Zack nawet nie mrugnął.

– Postaram się zapamiętać.

Nagle zorientowała się, że stojąca na środku sali Casey milczy i patrzy w ich stronę. Cisza trwała jeszcze przez moment, aż wreszcie Casey odchrząknęła i odwróciła stronę w swoich notatkach.

– Sprawa choinki dla potrzebujących. W pierwszym tygodniu akcji zarejestrowało się sześć rodzin, ale Pat Emerson zachorowała na grypę i sprawy utknęły w miejscu.

– Co to za akcja? – szepnął Zack.

Najchętniej udałaby, że nie słyszy, ale i tak na nic by się to nie zdało.

– Widziałeś choinki w holu na dole?

– Trudno ich nie zauważyć. Są bardzo okazałe.

– Tworzą świąteczny nastrój i reklamujemy na nich niektóre towary. Ale jedna to właśnie choinka dla potrzebujących. Rodziny, które nie mogą sobie pozwolić na ubrania i zabawki, mogą na niej zawieszać swoje prośby do firmy.

Zack ściągnął brwi.

– I ty na to pozwalasz? Ty? Osoba tak nieufna?

– Naturalnie, są pewne ograniczenia. Po pierwsze, zamówienia na drzewku nie są podpisane nazwiskiem. Podaje się wyłącznie wiek i rozmiar. Odpowiedni dział organizuje zakup tych prezentów, a następnie dostarcza je właściwym osobom. Upewniamy się również, czy dana rodzina jest autentycznie w potrzebie. Żeby skorzystać z naszej choinki, ludzie ci muszą być zarejestrowani przez organizację charytatywną. Pat Emerson zajmowała się właśnie koordynacją tych wszystkich drobiazgów.

– A teraz kto to będzie robił?

– Nie wiem. Trudno ją będzie zastąpić. Do tej pracy potrzebny jest ktoś szczególnie... Powinien być ciepły, serdeczny, kontaktowy i nie wścibski.

– To mi wygląda na coś, czym może się zajmować tylko kierownik.

– Kierownik? Sugerujesz, że powinnam to wziąć na siebie? Zapewniam cię, że...

– ... że nie masz takich kwalifikacji? Nie zdziwiłbym się, gdybyś to powiedziała. Może i nie jesteś robotem, ale...

– Chodzi nie o kwalifikacje, ale o to, że nie mam czasu. Ot co.

– W tej sytuacji – kontynuowała Casey – przynajmniej jedna osoba z każdego działu powinna zapoznać się z potrzebami zgłaszanymi na naszym drzewku, a jeśli ktoś zechciałby tymczasem zastąpić Pat, proszę o zgłoszenie się do mnie po zebraniu.

Zack podniósł rękę.

– To ogromnie czasochłonne – szeptem ostrzegła go Brandi.

– No i o to chodzi. Skoro i tak mam tu tkwić, całymi dniami, niech się przynajmniej do czegoś przydam... Zgłaszam się – powiedział głośno.

Ledwie skończyło się zebranie, na wszystkich piętrach zapaliły się kolorowe światła. Zatrzeszczało w głośnikach i momentalnie rozbrzmiała kolęda. Dom handlowy otwierał podwoje. Brandi instynktownie schowała głowę w ramiona. Już pierwsze takty „Jingle Bells” wystarczyły, by przez

moment poczuła się jak w klatce.

Widząc, że Casey zbiera się do wyjścia, podeszła do niej szybko.

– Chciałabym cię o coś poprosić. Czy mogłabyś nie nazywać Zacka moim Świętym Mikołajem?

Przyjaciółka uśmiechnęła się niemal drwiąco.

– No, ale jakoś się do ciebie przykleił. Nie uważasz?

Brandi poddała się. Wdawanie się w dyskusję mogło jedynie pogorszyć sytuację.

– Zejdę już lepiej na dół – mruknęła Casey. – Jeśli śnieg nie zatrzyma ludzi, nie wiem, jak sobie dam radę. Chyba że mi wyrosną drugie i trzecie ręce.

– Mogę ci podesłać nowego pracownika.

– Świetnie! Praktykant bardzo się przyda.

– W takim razie powiem w kadrach, żeby ci tę panią przysłali. Oczywiście, jeśli się zgłosi.

– Jak to: jeśli się zgłosi? Jeszcze jej nie zatrudniłaś?

– Nie. Długo by wyjaśniać...

– Szkoda, że nie mamy już czasu... Muszę lecieć, pa!

– Zaczekaj! – Brandi chwyciła ją za ramię. – Skąd masz tę plaketkę?

Casey dotknęła klapy zakietu i zasłoniła ręką wpięty dyskretnie obok goździka mały plastikowy znaczek.

– O to ci chodzi?

– Nie udawaj, że nie wiesz.

– Zack mi go dał. Dzisiaj rano.

– Powinnam była się domyślić. A swoją drogą, co to ma znaczyć?!

– Chcesz powiedzieć, że ci się to nie podoba? Jesteście w tak bliskich stosunkach, że...

– W bliskich stosunkach? – Brandi miała wrażenie, że się udusi. – Daj mi to.

– Uspokój się, Brandi. Przecież to tylko znaczek.

– Chyba ci wiadomo, że na terenie sklepu nie wolno nosić znaczków, wstążeczek ani żadnych plaketek manifestujących osobiste sympatie polityczne.

– Ależ... Ten znaczek nie ma nic wspólnego z polityką i na pewno ci go nie oddam. Jeśli chcesz taki sam, to zwróć się do Zacka. Musisz tylko obiecać, że codziennie, aż do świąt, zrobisz coś dobrego, a znajdziesz się w

„Klubie Przyjaciół Świętego Mikołaja”. Przepraszam, naprawdę muszę już biec. Nie otworzyłam jeszcze działu, tracimy pieniądze. Cześć!

Dusząc się z wściekłości, Brandi ruszyła w stronę chatki Świętego Mikołaja i chociaż przed płotkiem nie zdążyła się jeszcze zebrać kolejka dzieci, stanowczym ruchem ustawiła tablicę z napisem: „Święty Mikołaj wyszedł nakarmić swego renifera” i zamknęła furtkę na wypadek, gdyby ktoś chciał wejść, nim rozmówi się z tym pomyłencem.

Zack siedział w fotelu, wyciągając przed siebie długie nogi i wpatrując się w czubki błyszczących butów. Kiedy podeszła, wzniosł oczy do góry i wstał.

– Pani dyrektor – odezwał się tonem cierpiętника. – Jak tak dalej pójdzie, mój renifer zrobi się za gruby i bezużyteczny.

– No, to się go przerobi na kielbasę, a ty będziesz w Wigilię jeździł metrem – powiedziała ze złością.

Zack westchnął.

– Czuję, że jesteś na mnie wściekła. O co chodzi tym razem?

– Co to za pomysł z tymi znaczkami?

– Nie podobają ci się?

– Nieważne, czy mi się podobają, czy nie. Nie powinieneś rozpoczynać tego rodzaju akcji bez konsultacji ze mną. W naszych sklepach personelowi nie wolno demonstrować przekonań politycznych ani religijnych.

– A do jakiej kategorii przekonań zaliczyłabyś bycie przyjacielem Świętego Mikołaja?

– To jest zasada, Zack! Zasad się nie łamie.

– Czy nikt ci nigdy nie powiedział, że za szybko się irytujesz? – Pokręcił głową z niesmakiem. – A już myślałem, że zdenerwowało cię to, że wczorajszego wieczoru przemeblowałem ci dział zabawkarski. Brandi zaniemówiła.

– Co zrobiłeś?!

– Nic takiego. Poprzestawiałem tylko zabawki. Na pewnych półkach było tak pełno, że nie dało się wyjąć pudełek. Przeniosłem je i...

– W porządku – powiedziała przez zęby. – Koniec tej zabawy. Zwalniam cię.

Przez chwilę patrzył na nią w milczeniu.

– Za parę znaczków?

– Nie. Za wtrącanie się w nie swoje sprawy. Zostałeś zatrudniony w

charakterze Świętego Mikołaja, a nie kierownika tego sklepu.

Z przepastnej kieszeni swojego stroju Zack wyciągnął coś, co przypominało pilota.

– Co to jest? – zapytała zaskoczona.

– Telefon komórkowy. Przydatna rzecz. Święty Mikołaj też musi się czasem porozumieć z bankiem na biegunie.

– Bardzo dowcipne. Co chcesz zrobić?

– Na pewno nie będę pytał wróżki o twoje humory. Dzwonię do Rossa, żebyś mu od razu powiedziała, dlaczego ci nie pasuję.

Wystukał parę cyfr i podał jej aparat.

– Do diabła, Zack...

Umilkła, słysząc głos Clayтона, i szybko się przedstawiła.

– Cieszę się, że dzwonisz. Właśnie chciałem z tobą porozmawiać.

– Tak?

– Zack mówił mi, że jest zachwycony sklepem, a szczególnie opieką, jaką go otoczyłaś. Wnioskuje z tego, że świetnie sobie radzicie.

Zack patrzył na nią tak, jakby słyszał treść rozmowy.

– Zresztą sam to widziałem wczoraj.

– Byłeś tutaj? – Brandi czuła, że drętwieją jej usta. – Kiedy? Nie wstąpiłeś do biura?

– Przyjechałem wieczorem. Już po twoim wyjściu.

Wczoraj, pomyślała. Przed samym zamknięciem. Przed tym ich całowaniem się na parkingu.

– Przywieźliśmy z Kelly dzieciaki do Świętego Mikołaja. Nie do Zacka, oczywiście... rozpoznałyby go od razu... tylko do tego, który pracował po nim. Ale pogadaliśmy odrobinę i opowiadał mi, jak się cieszy z tego zajęcia.

– Założę się, że rozmawialiście w dziale zabawkarskim, kiedy przestawiał zabawki na półkach – powiedziała sucho, czekając, jaka będzie reakcja. Była pewna, że Clayton nie pochwalał tej samowoli, niezależnie od tego, jak bardzo przyjaźnił się z Forrestem.

– Rzeczywiście. I muszę powiedzieć, że ładniej to teraz wygląda. Kierownikowi działu również się podobało.

Brandi tylko głęboko westchnęła i zacisnęła gniewnie usta.

– Uważam, że pomysł z tym „Klubem Przyjaciół Świętego Mikołaja” też jest trafiony. O właśnie, dobrze, że sobie przypomniałem: Mam zrobić dobry

uczynek... No, Brandi... Dzwonisz zapewne w jakiejś sprawie. Mam nadzieję, że nie po to, żeby się wykręcić z naszego balu.

Nagle poczuła się słabo.

– Nie, skądże. Będę.

– To dobrze. Wiem, że Whitney bardzo chce się z tobą zobaczyć. Pewnie by w tym roku w ogóle do nas nie zjechała, gdyby nie ty... Ale zdradz mi wreszcie, z czym dzwonisz.

– Ja... – Zawahała się przez moment. – Chciałam ci tylko powiedzieć, że Zack... że inwencja twojego przyjaciela przekroczyła moje najśmielsze wyobrażenia.

– Nie dziwię się. – Clayton roześmiał się serdecznie.

– Dbaj o niego i bądź z nim w kontakcie. Zobaczymy się w sobotę wieczorem.

Oddając telefon Zackowi, unikała patrzenia mu w oczy. Bez słowa wyłączył aparat i wrzucił go do kieszeni.

– Być może postąpiłam zbyt pochopnie – powiedziała z godnością.

Popatrzył na nią ze zdumieniem.

– Pani, pani dyrektor?

– Nie przeciągaj struny, Forrest.

– To znaczy, że jeszcze tu pracuję?

– Na twoim miejscu nie liczyłabym na nic po świętach.

Ruszyła do furtki, gdy za nią zawołał.

– Co znowu? – burknęła, nie odwracając głowy.

– Będiesz na gwiazdkowym przyjęciu, czy może się przesłyszałem?

– Będę. A co?

– Ja też się tam wybieram – powiedział lekkim tonem.

– Może poszlibyśmy razem?

## Rozdział 5

Najchętniej wyrwałaby z ogrodzenia tablicę z napisem: „Święty Mikołaj wyszedł, żeby nakarmić swego renifera” i walnęła nią Zacka w głowę. Opanowała się jednak i podziękowała najspokojniej, jak umiała.

– Przyjęcia takie jak to łatwiej przeżyć, kiedy jest się z kimś umówionym.

– Tak się składa, że jestem już umówiona – odburknęła z irytacją.

Spotkanie z Whitney Townsend nie było, oczywiście, tym, o czym myślał, ale uważała je za istotne i czekała na nie z radością. Zaniepokojona przedłużającą się ciszą, odwróciła głowę. Patrzył na nią najwyraźniej zaskoczony.

– Co w tym takiego dziwnego? – rzuciła nerwowo.

– Nic. Po prostu spotkał mnie zawód. – Nie wyglądał jednak na szczególnie nieszczęśliwego. – Dostałem nauczkę. Powinienem być poprosić cię wcześniej. A jeśli chodzi o tę choinkę dla potrzebujących...

– Tak?

– Mam wolne prawie całe popołudnie. Czy nie moglibyśmy omówić tej sprawy przy lunchu?

– Niestety, będę w tym czasie bardzo zajęta. – Miała absolutną pewność, że jeśli swoim tonem nie ostudziła jego zapałów, to nic go już nie jest w stanie zmrozić.

I rzeczywiście.

– A później? – zapytał nie zrażony. – Na przykład po kolacji? Moglibyśmy poświęcić tej kwestii cały wieczór.

– Nie sądzę, żeby to musiało trwać tak długo.

Uśmiechnął się wesoło.

– Tym lepiej. Szybko obgadamy, co trzeba i będziemy mieli czas tylko dla siebie. Czy to nie urocza perspektywa?

Brandi przeanalizowała do końca wyniki listopadowej sprzedaży i podpisała bilans, który Dora miała rano przefaksować do centrali. Było już dobrze po szóstej, toteż kiedy wyszła na korytarz, widok sekretarki niepomiarnie ją zdziwił.

– Dora! Co ty tu jeszcze robisz?



– Prosiła pani, żeby nie przeszkadzać.

– Na miłość boską! Trzeba było iść do domu, jeśli skończyłaś swoją pracę.

– Nie skończyłam. A poza tym, ten pani Święty Mikołaj... to znaczy pan Forrest – poprawiła się, widząc minę Brandi – był tutaj. Powiedziałam mu, że nie ma pani dla nikogo, ale czekał tu przez jakiś czas.

– A potem tak zwyczajnie sobie poszedł? Coś takiego!

– Powiedział, że idzie do działu zabawkarskiego, żeby się nie nudzić.

– Co zapewne oznacza, że przemebluje cały dział.

– Nie mówił, co chce robić. W każdym razie bałam się, że jeśli wyjdę, wróci i będzie się pani naprzykrzał. Dlatego zostałam. I tak muszę jeszcze posortować ulotki reklamowe.

– Dziękuję, Doro. Nie zasłużyłam sobie na taką lojalność. Wyślij to rano faksem, a z ulotkami daj sobie spokój do jutra.

Zjechała windą na drugie piętro. Kupujących było niewiele. Śnieżyca się skończyła, ale – jak można było przewidzieć – jej skutki zatrzymały ludzi w domach. Dobrze, że to dopiero połowa sezonu, pomyślała z lekkim niepokojem. Gdyby takie opady zdarzyły się na kilka dni przed świętami, mogłoby to poważnie zaważyć na tegorocznym zysku.

W ogródku urzędował teraz jej ulubiony Święty Mikołaj, toteż przystanęła na moment, żeby popatrzeć, jak sobie radzi. Zack też był w tej roli niegorszy, ale tym mogła się autentycznie poszczycić, a Święci Mikołajowie od lat byli jej oczkiem w głowie. Nagle zauważyła pewną zmianę. Święty Mikołaj nie siedział na swoim zwykłym tronie, lecz w obszernym, ciemnozielonym fotelu z salonu meblowego – tym samym, który Zack zajmował rano podczas narady.

– Dobry wieczór, pani dyrektor – zawołał wesoło Mikołaj. – Bardzo dziękuję za wymianę fotela. Ten jest o wiele wygodniejszy. Wór z prezentami jest ciężki i muszę dbać o kręgosłup.

Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką, nie wyjaśniając, że z wymianą fotela osobiście nie miała nic wspólnego, i od razu weszła do działu z zabawkami. O mały włos, a potknęłaby się o nogi Zacka. Siedział na podłodze z dwoma chłopcami, którzy układali drewniane tory i autostradę z kawałków, podczas gdy on sam wyjmował z pudełka kolejkę i samochodziki.

– Co ty robisz, Zack? – Brandi oparła się o skrzynię pełną modnych

lalek.

Podniósł wzrok.

– Demonstruję chłopcom zalety tego modelu kolejki.

– A mnie się wydawało, że się bawisz.

– Owszem – przyznał z uśmiechem. – To chyba dobrze, nie? Jeśli zabawka rozwija wyobraźnię i twórcze zdolności dzieci, a zarazem intryguje dorosłych, to...

Brandi udała, że nie zauważa potaknięć kilkorga dorosłych osób, zapewne rodziców, którzy z zainteresowaniem przyglądali się rozłożonej kolejce.

– Pewnych dorosłych... – Zniżyła głos.

– Chcesz powiedzieć, że masz mnie za niedojrzałego?

– No cóż. Mężczyźni w twoim wieku raczej nie siedzą na podłodze i nie bawią się drewnianymi wagonikami. Uważasz to za szczyt swoich ambicji?

– Nie powiedziałbym. – Tor był ułożony. Zack ustawił na nim pociąg i wstał, pozostawiając bawiących się chłopców. – Mam nadzieję, że kiedyś będę się tak bawił z moimi własnymi dziećmi.

Nagle niemal zobaczyła tę scenę. Ogromna choinka, zapalone światełka, pod nią sterta prezentów, a obok rozłożona na podłodze kolejka, dwoje dzieci w piżamach i Zack. Wrażenie było tak silne, że aż potrzęsnęła głową. Ten człowiek był naprawdę przedziwny. Nie lubiła świąt, a przecież udało mu się wywołać w niej obraz prawie filmowy. Niemal czuła zapach piekącego się indyka.

– Wydawało mi się, że mieliśmy porozmawiać na temat choinki dla potrzebujących – powiedziała ostro, poruszona niemiło własną reakcją.

– Wybacz, że kazałem ci czekać – odparł swobodnie. – Smok, który strzeże twoich drzwi, trzymał mnie pół godziny, nie racząc ci nawet powiedzieć, że przyszedłem.

– Dora nie jest żadnym smokiem. Wiedziała, że jestem bardzo zajęta.

– W porządku. Poczekaj chwilę. Muszę jeszcze zamienić słówko z kierownikiem działu.

– Dlaczego?

– Nie wiem, czy poradzi sobie beze mnie. Teraz nie ma dużego ruchu, ale brakuje mu ludzi. Z powodu tej grypy... Wiesz co? A może poszłabyś już się przebrać?

– Po co?

– Pojedziemy coś zjeść.

Miała już zaprotestować, lecz nagle uświadomiła sobie, że jest bardzo głodna. Tyle że perspektywa wyjścia z nim jakoś ją żenowała.

– Możemy przecież usiąść w barku.

Pokręcił głową.

– Byłaś nieuchwytna przez całe popołudnie, więc nie dadzą ci teraz spokoju.

– A ty chcesz mnie mieć tylko dla siebie? – powiedziała drwiąco. – Urocze!

– Nie o to chodzi. Mam na sobie swój ulubiony sweter i nie chciałbym, żebyś opryskała mnie na przykład musztardą, gdyby komuś przyszło do głowy cię odwołać.

Spotkali się przy wyjściu dla pracowników. Parking odśnieżono, ale tam, gdzie śnieg leżał jeszcze nie uprzątnięty i nie zdeptany, skrzył się w świetle lamp jak rozrzucone hojną ręką diamenty.

– Jedziemy moim czy twoim samochodem? – zapytała.

– Do mojego mamy bliżej.

Czarnego sedana, który stał pod sklepem, pokrywał śnieg, toteż Brandi trudno było nawet określić markę. Zauważyła jednak od razu charakterystyczne znaki, wybite w skórzanych obiciach foteli. Silnik mruczał miękko.

– Kiedy Ross poprosił mnie, żebym cię zatrudniła, powiedział, że masz ostatnio problemy... – odezwała się niepewnie.

– O tak! Nawet spore.

– Ale chyba nie finansowe.

– Dlaczego tak myślisz?

– Oj, Zack. Nie jestem idiotką. Twój strój Świętego Mikołaja jest aksamitny, a buty z najlepszej skóry...

– Wypożyczone – uciął krótko.

– Nosisz przy sobie telefon komórkowy. To nie jest groszowa zabawka. Jeździsz bardzo dobrym samochodem.

– Niestety, nie mogę sobie pozwolić na to, żeby go sprzedać.

– Ciekawe.

– Mówię poważnie. Sama wiesz, jak trudno jest dostać dobrą cenę za prawie nowy samochód. I tak traci się od razu dziesięć procent. Po co więc miałbym go tak szybko sprzedawać. Przynajmniej trochę go dotrę.

- Aż zmieni właściciela?
- Może. Ale to ostateczność. Czym bym się zresztą poruszał?
- Zawsze możesz skorzystać z renifera. Kim ty naprawdę jesteś, Zack?

Wtyka korporacji?

– Nie sądzisz, że gdyby Ross chciał zrobić ze mnie wtyczkę, to ukryłby mnie inteligentniej?

– Nie miałam na myśli Rossa.

Uśmiechnął się szeroko.

– Co ci się doprawdy roi? Miałbym zacząć nosić trencz, ciemne okulary i węszyć między półkami?

– A więc przyznajesz się?

– Do niczego się nie przyznaję.

– Wybacz, ale jeśli ty jesteś zwykłym Świętym Mikołajem, to ja... – Umilkła, czując, że będzie musiała dokładnie przemyśleć budzące się w niej podejrzenia. Były za mało skryzalizowane, by warto je w tym momencie ujawniać.

– A skoro już mówimy o Rossie – zagadnął po chwili – to... może jednak pójdziemy razem na sobotnie przyjęcie?

– Wydawało mi się, że spotkają się na nim wyłącznie pracownicy korporacji – powiedziała z przekąsem. – W ubiegłym roku nie zaproszono nikogo poniżej asystenta kierownika.

– Wiem. Co za nuda. Oplotkowywanie się i podlizywanie przy szampanie.

– Chcesz powiedzieć, że Claytonowie zaprosili ciebie, żeby ożywić atmosferę?

– I zapewne nie tylko mnie – odparł skromnie. – Przyjdzie też kilka innych zaprzyjaźnionych osób. Ale nie odpowiedziałas na moje pytanie...

– Nie mam zwyczaju rezygnować z umówionego spotkania tylko dlatego, że pojawił się ktoś inny.

– Nawet jeśli ten ktoś jest ciekawszy?

– Kwestia gustu.

Spodziewała się kolejnego argumentu, lecz Zack zmienił temat.

– Lubisz włoską kuchnię?

– Owszem.

Kwadrans później zatrzymali się przed małą włoską knajpką. Hostessa powitała Zacka po imieniu i zaprowadziła ich do stolika z wielkimi

czerwonymi serwetkami. Karta dań była również ogromna i zawierała chyba wszystkie możliwe kombinacje makaronu z różnymi sosami. Brandi przejrzała swoją i odłożyła na bok.

– Coś mówiłeś? – powiedziała zniecierpliwiona do pozornie zaczytanego Zacka.

– Wiem, że lubisz decydować, ale...

– Wybieraj. Przecież widzę, że byłeś tu nieraz i znasz menu na pamięć. Byle tylko nie trzeba czekać godzinami, aż to coś się ugotuje. No, a teraz możemy się już chyba zająć sprawą choinki?

– Możemy, ale... Chciałbym ci najpierw opowiedzieć o czymś, o czym długo dziś myślałem. Wiesz...

– Słuchaj...

– Mam pewien pomysł.

– Zack...

– Chciałaś, żebym zawsze uzgadniał z tobą swoje posunięcia.

– No dobrze. Mów. – Czują, że sama zastawiała na siebie pułapkę.

– Czy rozważałaś kiedyś taką możliwość, żeby raz w tygodniu aż do świąt sklep był czynny do bardzo późna? Rodzice mogliby wtedy zostawić pociechy w domu i spokojnie pokupować prezenty.

– A nie mogą wziąć sobie kogoś do opieki w ciągu dnia?

– Wieczorem byłoby im o to łatwiej. Łatwiej też schować prezenty, kiedy dzieci nie kręcą się obok. Marzenia się spełniają, a Święty Mikołaj nie zostaje odarty z tajemnicy. Rozumiesz mnie, prawda?

– Tak, chociaż nie wiem, skąd tyle wiesz o dzieciach. Skoro nie masz jeszcze własnych...

– Jestem za to ukochanym przyszywanym wujkiem całej czeredy... – Zamówił dwie porcje *manicotti* i butelkę czerwonego wina, po czym przechylił się przez stolik i starannie rozłożył czerwoną serwetkę na kolanach Brandi.

– I dlatego postanowiłeś zostać Świętym Mikołajem? Miało ci to wypełnić w życiu jakąś lukę?

– Może i tak... No to co, zorganizujemy nocną sprzedaż dla samych rodziców?

– Nie dość ci pracy przy choince dla potrzebujących?

– Nie przesadzaj. Wystarczy przygotować ogłoszenia, ustawić kilka tablic w dziale z zabawkami...

– ... namówić parę osób, które będą utyskiwać z powodu absurdalnie późnych godzin pracy...

– O to się nie martw. Rozmawiałem już na ten temat i spora część personelu uważa, że to dobry pomysł.

– Rossowi, jak przypuszczam, też o tym wspominałeś.

– Tak. I nie sądzę, żeby miał coś przeciwko.

Brandi westchnęła. A więc to tak. Przygotował sobie dokładnie grunt, a jej zgoda była właściwie niemal zbędna.

– W porządku – powiedziała niechętnie. – Zapytaj kierownika działu zabawkarskiego, co o tym myśli. Możesz działać, ale pod warunkiem, że uzyskasz jego akceptację, a przede wszystkim zgodę zarządu pasażu na odstąpienie od ustaleń dotyczących naszych godzin pracy. Czy to dla ciebie jasne?

– Jak słońce na niebie! – Uśmiechnął się entuzjastycznie. – A przy okazji... co byś pomyślała o nocnej sprzedaży dla ludzi starych? Założę się, że niespecjalnie kochają kupować w dzikim tłumie. Moglibyśmy dla nich zorganizować specjalne autobusy...

– Chwileczkę, Forrest. Do czego zmierzasz? Może ty chcesz pracować w dziale public relations?

– To jest myśl!

– Mam dla ciebie radę. Daj sobie spokój z naszym małym sklepikiem. Z taką inwencją mógłbyś zrewolucjonizować całą sieć Tyler-Royale.

– Dziękuję.

– To nie miał być komplement.

Podano wino. Zack popróbowował smak i aprobująco skinął głową. Kelner napełnił kieliszki i oddalił się cicho. Brandi pociągnęła łyk.

– Weźmy na przykład te zwariowane znaczki...

– To znaczy?

– Skąd je w ogóle wzięłeś?

– Z działu galanterii. Zamówiłem tysiąc i spisali się dzielnie. Nie uważasz? – Sięgnął do kieszeni. – Mam jeden i dla ciebie, jeśli chcesz.

– Nie, dziękuję.

Przechylił głowę na bok i bacznie się jej przyglądał.

– Sądzisz, że nie jestem w stanie zrobić jednego dobrego uczynku na dzień? – zapytała ze złością.

– Chętnie zmieniłbym przekonanie.

– Ale, zrozum... To nie ma nic wspólnego ze mną osobiście. Obowiązuje nas zakaz noszenia jakichkolwiek plaketek i dopóki korporacja nie zmieni tej zasady, muszę się do niej stosować, choćby cały personel miał ją za nic.

– Ross nosi taki znaczek.

– Wiem. Ale to co innego. Ross ustala zasady. Wszystko mu wolno.

– Pomysł jednak się przyjął. Zacząłem rozdawać znaczki dopiero wczoraj, a już atmosfera w sklepie wydaje się serdeczniejsza. Przyjemnie jest być przyjacielem Świętego Mikołaja... Myślę, że ten nastrój da się też przenieść do akcji charytatywnej. Wiesz co? – Ufnie pochylił się nad stolikiem. – Takiej genialnej choinki dla potrzebujących jak my nie zrobi nikt w Tyler-Royale.

– To nie są zawody, Zack.

– Szkoda. Powiedz mi w takim razie, co miałbym w tej akcji robić.

– Przede wszystkim zbierać dokumentację. Przychodzi do ciebie rodzina, rozmawiacie. Potem sprawdzasz wszędzie, gdzie trzeba, czy masz rzeczywiście do czynienia z ludźmi biednymi.

Zack ściągnął brwi.

– Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś, kto nie potrzebuje pomocy, zwracał się o dobroczynność.

– A jednak... Sam się przekonasz.

– Ależ дума...

– Właśnie. Ludzie, którzy najbardziej potrzebują pomocy, są często zbyt dumni, żeby o nią prosić.

– Jak na przykład Theresa Howard?

Brandi kiwnęła głową, przypominając sobie, że powinna jutro sprawdzić w kadrach, czy pani Howard w ogóle się zjawiała.

– Są z kolei i tacy, którzy wyciągnęliby zewsząd wszystko, co tylko się da. Pat miała zwyczaj sprawdzać na miejscu warunki rodzin, których łzawe opowieści wydawały się jej nieco przesadzone.

– I co?

– Bywało różnie. Naciągacze się zdarzają, ale nie trzeba zaraz robić z tego afery. Przeważnie prośby są uzasadnione. Tryb pracy wygląda następująco: Rodzina zgłasza listę potrzeb. Każdej osobie wypełniasz oddzielną gwiazdkę i zawieszasz ją na choince. Informacja na gwiazdce zawiera wiek i rozmiary ubrania. Prosimy też o podanie ulubionych i szczególnie nie lubianych kolorów czy fasonów po to, żeby ktoś, kto

zdejmie gwiazdkę i będzie robił zakupy, miał jako taką orientację. Do twoich obowiązków należy porozumieć się z działem obsługi klienta, odebrać towar przeznaczony na prezent, zapakować go i dostarczyć określonej osobie.

– To proste. – Wzruszył ramionami.

– Może i proste, ale niełatwe. Bywa, że dary napływają nieregularnie albo coś się gubi i czasami jeden z członków rodziny zostaje pominięty. W takim wypadku korzystasz ze specjalnego funduszu i sam załatwiasz sprawunki.

Po raz pierwszy zauważyła, że jego entuzjazm nieco osłabł. Im dłużej jednak oswajała się z myślą, iż to właśnie Zack przejął sprawę choinki dla potrzebujących, tym bardziej się z tego cieszyła. Nareszcie nie będzie miał czasu, żeby ją irytować swoją niewyczerpaną inwencją.

*Manicotti* było doskonale przyrządzone, ale podano je bardzo gorące, toteż kolacja przeciągnęła się i kiedy wrócili do pasażu, zapadł już zmierzch.

– Wracasz jeszcze do sklepu, czy jedziesz do domu? – zapytał Zack.

Brandi ziewnęła.

– Pojadę już. Po paru kieliszkach wina pewnie i tak niewiele udałoby mi się wymyślić.

Popatrzył na nią z lekką ironią.

– Jestem zaszokowany pani postawą, pani dyrektor. Ja muszę wracać do pracy. I rano też się pani spóźniła... Powinienem chyba złożyć na panią skargę.

– Najlepiej od razu. Bez wątpienia zastaniesz Rossa w domu.

Zaparkował tuż obok jej samochodu.

– Chcesz powiedzieć, że nie pracuje przez szesnaście godzin na dobę? Słuszna wątpliwość. Jeśli dyrektor generalny nie musi tak orać, to dlaczego ty musisz?

– Bo jest dyrektorem generalnym, a ja nie. Siedź, nie rób sobie kłopotu.

Wysiadł już jednak z samochodu i kiedy stanęli obok siebie w przyćmionym świetle lamp, wydało się jej nagle, że tak jak ubiegłego wieczoru, zaraz ją do siebie przyciągnie. Przestraszyła się tej bliskości.

– Dziękuję za kolację – powiedziała szybko, wsuwając klucz do zamka drzwi swego samochodu. – Naprawdę powinieneś mi pozwolić uregulować rachunek. Omawialiśmy przecież sprawy służbowe.

– Zaproś mnie kiedyś na homara. – Uśmiechnął się. – Obiecuję, że nie



będę protestował.

Nie mogła zamknąć drzwi, ponieważ stał w taki sposób, jakby coś go szczególnie zaintrygowało w samochodzie albo... w jej wyglądzie.

– Powiedziałaś, że mój samochód jest ładny... – wymruczał.

Brandi niemal wybuchnęła pełnym ulgi śmiechem i przekręciła klucz w stacyjce. Rozległ się suchy trzask.

– Co u licha? – Spróbowała jeszcze raz.

– Rozładował ci się akumulator, możesz sobie dać spokój.

Brandi jęknęła.

– Rano, kiedy dojechałam do pracy, dopiero wstało słońce i musiałam zostawić zapalone światła. Ależ ze mnie idiotka!

– Tego bym nie powiedział, Brandi.

– Dobrze, dobrze. Nie wysilaj się, sama wiem najlepiej. Nie musisz tu ze mną tkwić, chociaż byłabym ci wdzięczna, gdybyś zechciał wyjąć ten swój magiczny telefonik i wezwać ekipę.

Zack pokręcił głową.

– Chętnie bym to zrobił, ale...

– Rozumiem. Wyczerpałeś czas na rozmowy.

– Czekanie na mrozie nie miałoby sensu. Zmarzłabyś tylko, a i tak jutro rano musiałabyś naładować akumulator. Lepiej zostawić samochód na parkingu.

– Masz rację – przyznała markotnie. – W takim razie, przyjacielu Świętego Mikołaja, może zrobiłbyś dobry uczynek?

– To znaczy? Mam cię zawieźć do domu? Zrobiłbym to z największą chęcią, ale za kwadrans mam być w pracy i obawiam się, że jeśli się nie stawię, szefowa mnie wyrzuci.

– Zack... – Pokazała ręką prawie pusty parking. – Opuść sobie te pół godziny. I tak już tu prawie nikogo nie ma.

– Zapewne. Ale czy mogłabyś mi to dać na piśmie?

Pokazała mu język, a wtedy błysnął zębami i pomógł jej przesiąść się do swego sedana.

– Zamknęłaś samochód? – zapytał.

– A myślisz, że ktoś mógłby mieć ochotę odjechać tym wrakiem w siną dal? Oczywiście, że zamknęłam. Mieszkam w tym mieście od urodzenia i nigdy n. e zostawiam otwartego samochodu.

– I zawsze wyłączasz przednie światła. – Uśmiech, z jakim skomentował

jej pełne irytacji zapewnienia, nie był jednak złośliwy. Z zaskoczeniem poczuła, że jest mu za to wdzięczna. Wdzięczna i zmieszana. Kiedy dojechali na miejsce, odpięła pas i posłusznie podała mu rękę, gdy pomógł jej wysiąść.

– Wstąpisz na kawę, Zack? Nie mam niczego słodkiego, bo ostatnio nie robiłam zakupów, ale...

Nie wypadało zachować się inaczej. Wybawił ją z tarapatów, powinna więc jakoś okazać wdzięczność. Spodziewała się zresztą, że odmówi; zapewne i jemu marzył się już dom.

– Bardzo chętnie – powiedział z uśmiechem.

Brandi poczuła ucisk w gardle. Co się ze mną dzieje?

– pomyślała z lękiem. Nie stało się nic niezwykłego, ot, po prostu się uśmiechnął, a to wystarczyło, by ogarnęło ją dziwne, zapierające dech w piersiach uczucie, z którym walczyła rano, gdy nie wiadomo dlaczego zapragnęła pocałować dołeczek w jego policzku. Ciekawe, co by zrobił, gdyby poddała się temu dziecinnemu impulsowi. Oczywiście nie zamierzała tego teraz sprawdzać. Ależ skąd! Filiżanka kawy, krótka, uprzejma rozmowa i do widzenia.

Kiedy weszli do budynku, zauważyła, że pod jej drzwiami ktoś stoi i raz po raz naciska dzwonek. Była to jedna z trzech dziewcząt, które ubiegłego wieczoru sprzedawały świąteczne girlandy.

– Och, nareszcie pani jest – powiedziała z widoczną ulgą. – Odnoszę girlandę.

Brandi zmarszczyła brwi.

– Przecież powiedziałam wam, że dziękuję i żebyście ją komuś dały.

– Ale ja tak nie mogę. Mama okropnie mnie skrzyczała. Powiedziała, że nie wolno brać pieniędzy za nic. A więc proszę... – Wepchnęła pachnące gałęzie w ręce Brandi i od razu uciekła.

– Prawdziwy cyrk – mruknęła Brandi. – To już nawet prezentu dzieciom zrobić nie można. Zaraz muszą człowiekowi coś wtrynić. – Girlanda była ogromna i kłuła, przeszkadzała wydobyć klucz z torebki. – No i co ja z tym zrobię? A może tobie się przyda? Chcesz?

– Nie, ale daj na chwilę, potrzymam. Nie możesz jej powiesić u siebie?

– Nie przyozdabiam domu na Boże Narodzenie.

– W ogóle? I nie obchodzisz świąt?

– Naturalnie, że obchodzę, ale po swojemu. Będę się wylegiwać i

odpoczywać do czasu, aż zacznie się nowy obłęd, czyli poświęteczne zwroty.

Zack był najwyraźniej poruszony.

– I to mają być święta? Bez rodziny?

– Mama zmarła, kiedy miałam osiemnaście lat.

– W tym wieku ciężko przeżywa się śmierć najbliższych.

Milczała przez moment.

– Tato żyje. Mieszka w Kalifornii. Rozwiedli się, kiedy byłam małą. Założył nową rodzinę...

– W której nie ma dla ciebie miejsca – odpowiedział łagodnie.

Była to prawda, lecz Brandi nie życzyła sobie prawdy ani współczucia.

– Nie o to chodzi. Nie chce mi się wlec przez pół świata tylko po to, żeby być przy krajaniu indyka.

– Zostajesz więc w domu i robisz sobie hamburgera z frytkami albo jajecznicę.

– Powiedzmy. – Naprawdę nie miała ochoty na dyskusję o swoich zwyczajach. – Połóż te gałęzie, gdzie chcesz.

– Co z nimi zrobisz?

– Wyniosę ze śmieciami. Chyba że znajdzie się chętny. Może ktoś z choinki dla potrzebujących zgłosi ci takie zapotrzebowanie.

Zack stał nadal na środku z girlandą w rękach i rozglądał się.

– Napijesz się kawy czy czekolady na gorąco? – zapytała z wewnętrznym rozdrażnieniem.

– Kawy. Ale wiesz... To trochę wstyd. Masz świetne miejsce na drzewko. Mogłabyś je postawić przy drzwiach balkonowych. Mrugałoby do sąsiadów.

Musiał podnieść głos, gdyż Brandi wyszła do kuchni. Nastawiła czajnik.

– Mają swoje – powiedziała głośno. – A ja mam święty spokój. Nie muszę potem sprzątać igieł.

Nie odpowiedział. Naprędce poszukała tacy, której nie używała od dawna.

– Nie mam świeżej śmietanki – zawołała zirytowana.

– I tak piję bez, zapomniałaś? Wiesz, co by ci przywróciło ochotę do obchodzenia świąt? Dwójka dzieci.

– Daj spokój. Przenigdy.

Weszła do pokoju i niemal upuściła tacę. Zack kończył upinać girlandę

nad gazowym kominkiem, w którym płonęło sztuczne polano.

– Czuj się jak u siebie w domu – powiedziała cierpko.

– Dziękuję. Nie lubisz dzieci?

– To straszna odpowiedzialność.

Spojrzał na nią z ukosa.

– Byłaś trudnym dzieckiem?

– Nie sędzę. – Zdziwił ją tym pytaniem. – Chyba takim samym jak wszystkie. Ale świat się zmienił. Ludzie, którzy nie chcą siedzieć przy dzieciach, nie powinni ich w ogóle mieć.

– Perspektywa siedzenia w domu wydaje ci się nie do przyjęcia?

– Chyba tak... Utrzymuję tylko siebie, a i tak mam co robić. Jeśli pomyśleć, że taka dwójeczka dorasta i że pewnego dnia trzeba jej zapewnić wykształcenie... A poza tym, jak ci już mówiłam, kocham swoją pracę.

– I masz apetyt na karierę.

– Owszem. Zack, ta girlanda jest bardzo ładna, ale...

Upinał ją przez cały czas w trakcie rozmowy i kiedy ostatnie gałązki znalazły się na obramowaniu kominka, pomyślała, że trudno by już było wyobrazić go sobie bez tej ozdoby.

– Od razu zrobiło się świąteczniej, nie uważasz?

Podszedł do niej, wyjął jej tacę z rąk i postawił na wiklinowym stoliku przy kanapie.

– Nie miałem na myśli twoich własnych dzieci.

– A jakie? Mam zostać czyjąś przyszywaną ciocią? Nie znam bliżej żadnych dzieci, a poza tym, chyba nie umiałabym się zaprzyjaźnić. Zresztą, gdybym nawet chciała... nie znajdę czasu.

Nie odpowiedział. Siedział, obejmując dłońmi filiżankę, i patrzył w płomień. Zastanowiło ją, o czym myśli, i znowu obudziły się w niej podejrzenia. Tym razem jednak, tak jakby podświadomość odrzuciła już to, co nieistotne, rysowały się one wyraźniej. Kiedy zapytała go, czy jest wtyczką, bez namysłu powiązał to z osobą Rossa, ale wykręcił się żartem. A zatem, myślała, pracował nie dla konkurencji, a dla samego Claytona. Pewnie dlatego miał jego domowy, bezpośredni numer telefonu.

– Wiesz... – odezwała się niemal sennie, opierając głowę na kanapie. – Ross miał zawsze swojego, jak my to nazywamy, „spadochroniarza”. Kogoś, kogo się posyła na przeszpiegi, gdy w którymś sklepie dzieje się nie tak, jak trzeba.

– Czemu o tym mówisz?

– Kilka lat temu – ciągnęła, nie odpowiadając na pytanie – kimś takim była Whitney Townsend, ale teraz kieruje domem handlowym w Kansas City. Przed paroma tygodniami Ross oficjalnie wysłał ją do sklepu w San Antonio, gdzie pojawiły się jakieś problemy. Oznaczać by to mogło, że brakuje mu „spadochroniarzy”.

– Nie całkiem rozumiem...

– Albo jest inaczej. Ma w San Antonio swojego człowieka, lecz z jakichś względów nie chce go demaskować. Wysłał więc dla niepoznaki Whitney, żeby zajęła się pomniejszych problemami, a większe ma rozpracować tamten.

Zack wzruszył ramionami, jakby uznawał jej wypowiedź za naiwną, ale próbował się dostosować.

– Dyskretne działania szefa bywają czasem korzystne dla firmy.

– Otóż to. – Czuła, że trzęsą się jej ręce. – I tak właśnie sobie myślę, co ty tu właściwie robisz. Nie jesteś zwykłym Świętym Mikołajem, a zatem kim? Wtyczką Rossa? Człowiekiem do specjalnych poruczeń? A jeśli tak, to co takiego złego dzieje się w moim sklepie? I dlaczego ja o tym nie wiem?

## Rozdział 6

Zack był wyraźnie zaskoczony.

– Znowu to samo – powiedział niechętnie, ale nie potrafiła odgadnąć, czy dlatego, że jej podejrzenia nie miały sensu, czy też dlatego, że utrafiła w sedno. – Masz dowody na to, że Ross kiedykolwiek cię śledził?

– Mnie nie. Innym jednak się to zdarzało. Whitney opowiadała mi nieraz o obserwacji sklepu bez wiedzy kierownika.

– I sądzisz, że Ross postanowił teraz zająć się twoim? Zdarzyły ci się jakieś poważne niedopatrzienia?

Brandi poczuła pieczenie pod powiekami. Zamknęła oczy, próbując powstrzymać łzy. Problemy w pracy to chleb powszedni, ale nigdy z ich powodu nie płakała. Nie rozumiała siebie.

– Nie wiem – wybąkała. – Sama już nie wiem.

Zapadła przygniatająca, deprymująca cisza. Brandi uzmysłowiła sobie nagle, że nie tylko nie dowiedziała się niczego o Zacku, ale w ogóle lepiej by było, gdyby nie poruszała tego tematu. Jeśli sugestie Zacka miały podstawy, jej dziecinny płacz w niczym nie mógł jej pomóc, a jeżeli opowiadał bzdury, dała z siebie zrobić idiotkę. Nim objął dłonią jej brodę i niósł ku sobie twarz, poczuła bijące od niego ciepło.

– Brandi, popatrz na mnie.

Z największym wysiłkiem otworzyła oczy.

– Nie bój się – powiedział schrypniętym głosem. – To ja mam kłopoty, nie ty. Nikt nie ma do ciebie żadnych pretensji.

– Powiedz, że to prawda – szepnęła przez łzy, wpatrując się w niego jak w zamazany obraz. – Powiedz, czy...

– Przysięgam. Sklep prowadzony jest przepięknie, a ty... – Umilkł, po czym szepnął coś, czego nie dosłyszała, pochylił głowę, powoli scałował łzy z jej rzęs. – Ty też jesteś piękna – wyszeptał, nim dotknął ustami jej warg.

Wytrącona z równowagi niedawnym lękiem, zareagowała na ten pocałunek jak człowiek zepchnięty raptem ze skały. Wydało jej się, że leci w przepaść, i z całej siły przywarła do Zacka, walcząc z zawrotem głowy. Polegała już tylko na nim – na sile mocnych, kołyszących ją ramion, dzięki którym czuła się wreszcie bezpieczna w świecie, który nagle stanął na głowie. Jakiś wewnętrzny ironiczny głos usiłował wdrzeć się między nich,

ale prawie go nie słyszała. Nie chciała słyszeć.

Poczuła, że Zack się odsuwa i mrużąc coś, usiłowała go zatrzymać, ale nagle wstał. Dopiero po chwili zorientowała się, że dzwoni telefon. Ogarnął ją wstyd. Jak mogła tak się zapamiętać, żeby nawet nie usłyszeć dzwonka. I co sobie pomyśli Zack?

Przytrzymując się mebli i framugi, poszła do kuchni, gdzie stał aparat. Od razu rozpoznała zemocjonowany głos strażnika ze sklepu.

– Pani Ogilvie? Dobry wieczór. Mieliśmy mały kłopot. Już po wszystkim, ale pomyślałem, że powinienem panią powiadomić.

Brandi otrzeźwiała natychmiast.

– Co się stało? – zapytała i przerwała strażnikowi po kilku zdaniach. – Zaraz tam będę.

Kiedy wróciła do pokoju, Zack stał. Podniósł się po to, żeby słyszeć rozmowę, czy też po to, żeby po prostu jak najszybciej się pożegnać? Wiedziała, iż pocałunek sprawił mu przyjemność, lecz sytuacja była nieco dwuznaczna. Mógł się przestraszyć gwałtowności jej reakcji, niepohamowanego głodu bliskości. Gdyby pomyślał, że po prostu rzuciła się na niego, nie miałyby prawa go za to winić.

– Strasznie mi głupio, Zack, ale chciałabym cię jeszcze o coś poprosić. Czy mógłbyś mnie odwieźć do sklepu?

Sięgnął po płaszcz wiszący na oparciu krzesła.

– Coś się stało?

– Pamiętasz sprawę tego typka, przed którym ostrzegęła nas ochrona?

– Tego, co to wczoraj wieczorem włóczył się w okolicach parkingu?

Brandi zawahała się przez sekundę. Jak to: wczoraj? Czy to możliwe, że od tamtych pierwszych pocałunków na parkingu upłynęła zaledwie doba?

– Tak – powiedziała, z trudem odpychając od siebie wspomnienia. – Dziś wieczorem próbował zatrzymać kasjerkę z perfumerii. Napadł na nią w głównym wejściu do pasażu, żądając pieniędzy, ale zdążyła nacisnąć alarm. Uderzył ją tylko i uciekł... – Włożyła ręce w rękawy palta, które jej podał. – Powinam była tam być.

Przycisnął ją lekko do siebie.

– I co byś poradziła?

– Nieważne. To mój sklep, moja praca. – Wyciągnęła włosy spod kołnierza i niechcący uderzyła go nimi w twarz. – Przepraszam.

Pokręcił głową, jakby to leciuteńkie przecież uderzenie jakoś go

poruszyło i zdumiało.

– Złodziej? W chronionym pasażu?

– Nieprawdopodobne, co? Musiał przebiec kilkadziesiąt metrów, żeby się wydostać.

– Albo przejść przez sklep do wyjścia na parking, ale tam jest przecież tabun strażników. Że też nikt go nie zatrzymał. Naprawdę dziwne.

– Dziwne – potwierdziła niechętnie. – Na szczęście dziewczynie nic się nie stało, tyle że bardzo się przestraszyła. Wiesz, nigdy bym się czegoś takiego nie spodziewała. Siedemnaście sklepów, setki ludzi, ochrona... czy ten człowiek nie pomyślał o ryzyku?

– Być może w ogóle nie myśli.

Brandi zadrzała i przez całą drogę nie odezwała się już ani słowem. Przed sklepem zastali trzy policyjne wozy, błyskające światłami.

– Zack... – powiedziała powoli, kiedy zmierzali w stronę wejścia do pasażu. – Chciałabym... Przepraszam cię za swoje oskarżenia.

Milcząc, przytrzymał jej drzwi.

– Wygadywałam jakieś okropne bzdury. Taka już jestem, niestety. Kiedy coś zagraża mojemu sklepowi albo przynajmniej tak mi się wydaje, staję się lekko niepoczytalna.

– Brandi...

Głęboki i nasycony jakimś mrocznym uczuciem ton jego głosu przeraził ją. Miała tylko nadzieję, że Zack powstrzyma się od uwag na temat jej zachowania w domu i nie zacznie jej wyśmiewać. Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy.

– Nie czas teraz na rozmowy – powiedziała szybko. – Zapomnijmy o tym, co się stało. Proszę.

W perfumerii zebrało się sporo ludzi, którzy otaczali kręgiem roztrzęsioną ekspedientkę. Mnąc w palcach chusteczkę, rozmawiała z dwoma policjantami i nie od razu zauważyła Brandi, do której podszedł strażnik. Dopiero słysząc jej głos, odwróciła głowę, a kiedy Brandi pogładziła ją po plecach, wybuchnęła płaczem.

– Już dobrze, dobrze – szepnęła Brandi, obejmując ją serdecznie. – Zachowałeś się wspaniale.

– Ale... Pani dyrektor... – bezradnie zaszlochała dziewczyna. – Oni mówią, że powinnam była oddać temu złodziejowi kasę.

Brandi obrzuciła policjantów niechętnym spojrzeniem. Mieli



niewątpliwie rację – nie należało ryzykować życiem z powodu pieniędzy. Tylko po co mówić o tym dzielnej, roztrzęsionej dziewczynie? Miała wielką ochotę powiedzieć parę ostrych słów tym mądralom, gdy zbliżył się Zack.

– Brandi... – powiedział, jakby doskonale wiedział, co chce zrobić.

Policjanci przebywali w sklepie jeszcze jakieś pół godziny. Szukali odcisków palców i przedmiotów, które niedoszły rabuś mógł zostawić, po czym odjechali. Zrobiło się cicho. Słysząc było jedynie kroki strażnika obchodzącego działą i miękkie uderzenia pazurów psa o podłogę.

Brandi ziewnęła i mówiąc strażnikowi „dobranoc”, zastanawiała się, ile czasu przyjdzie jej czekać na taksówkę. Zack jednak nie odjechał. Siedział spokojnie na dziedzińcu, a kiedy do niego podeszła, podniósł się i wziął ją pod rękę. Była mu wdzięczna za wsparcie, lecz nie miała ochoty na rozmowę. Zack zresztą najwyraźniej też. Odezwał się dopiero przed wjazdem do jej osiedla.

– Jesteś zadziwiającą istotą, Brandi.

– Nie rozumiem...

– Dasz sobie radę sama? – zapytał, niczego nie wyjaśniając.

Zabrzmiało to nie jak pytanie, lecz jak stwierdzenie. Oczywiście, pomyślała. I tak by nie wstąpił, wszystko jedno, czy go zaproszę, czy nie. Było późno. Czowała się wykończona. Mimo to zastanowiło ją, dlaczego chce się pożegnać. Czy dlatego, że po prostu był zmęczony? Miał w końcu do tego absolutne prawo po długim, męczącym dniu. A może to ze względu na nią? Może lękał się powtórzenia tego, co stało się między nimi wcześniej?

– Z całą pewnością – powiedziała. – Nie jestem z tych, których trzeba podtrzymywać na duchu.

Zaparkował i pomógł jej wysiąść.

– Polegasz tylko na sobie, prawda, Brandi?

– A na kim miałabym polegać? – Wzruszyła ramionami.

Nie odpowiedział ani też nie spróbował jej dotknąć. Kiedy odeszła, wychylił się tylko z samochodu i odczekał, aż znikła w budynku.

Mimo centralnego ogrzewania Brandi trzęsła się z zimna. Był to zapewne efekt zmęczenia wieczornymi zajściami, ale czy tylko? Wyciągnęła ręce nad palącym się kominkiem. Wychodzili z domu w takim pośpiechu, że oboje zapomnieli o wyłączeniu gazu. Nagle uświadomiła sobie, że całe mieszkanie pachnie świerczyną. Popatrzyła na girlandę i z wdzięcznością pomyślała o Zacku. Jak to dobrze, że ją upiął, chociaż... Przydałoby się ją

trochę przystroić, wpleść parę światełek w gałązki, prysnąć odrobinę sztucznego śniegu i sreberka na końce igieł. O tak, byłaby śliczna.

Tylko po co to wszystko? – zadrwiła. Przecież prawie nie bywa w domu. Zack powiedział, że odczułaby świąteczny nastrój, gdyby były obok niej dzieci. Hm... nigdy tak o tym nie myślała. Dzieci kojarzyły się jej wyłącznie ze zmęczeniem, a ten stan знаła aż nadto dobrze.

Nagle przyplłynął do niej ten sam obraz, który Zack wyczarował, kiedy w sklepie bawił się z chłopcami, uruchamiając kolejkę. Wystarczyło przymknąć oczy, żeby ulec złudzeniu, iż to wszystko jest tutaj naprawdę. Przystrojona choinka – w drzwiach balkonowych, tak jak sugerował, rozłożona kolejka na podłodze i dwoje klęczących nad nią dzieci. Nie potrafiła wyobrazić sobie ich twarzy.

Kiedys zakładała, że będzie mieć dzieci. Nie przywiązywała do tego wielkiej wagi, bo ani specjalnie nie lubiła maluchów, ani za nimi nie tęskniła. Są – rozumowała – elementem życia, więc po kolei przyjdzie czas na mężczyznę, małżeństwo, a co za tym idzie – rodzinę. I – do pewnego momentu – wszystko w tym kierunku zmierzało. W jej życiu pojawił się mężczyzna, mieli się nawet pobrać, ale na szczęście – tak to teraz widziała – do ślubu nie doszło. Jasonowi była potrzebna nie żona, ale raczej opiekunka.

Jak zauważył Zack, polegała wyłącznie na sobie. Mogłaby mu opowiadać długo o lekcjach, jakie dało jej życie, i to nie raz i nie dwa. O ojcu, dla którego po rozwodzie niemal przestała istnieć. O śmierci matki i o swoim osamotnieniu. A na koniec o Jasonie, który twierdził, że podziwia jej niezależność, ale – jak się miało okazać – oznaczało to tylko jedno: czuł się zwolniony od jakiegokolwiek odpowiedzialności.

Oczywiście nie opowiedziała Zackowi o tym wszystkim i nie zamierzała tego zrobić. Dzielenie się własnymi przeżyciami z kimś prawie nie znanym mogło być wyłącznie dopraszaniem się o kolejne ciągi od życia, na które nie miała już ochoty.

W mieszkaniu było tak cicho, że słyszała bicie własnego serca. Zapragnęła nagle usłyszeć czyjś głos i potrzeba ta była tak dojmująca, że bała się, iż zaraz zacznie mówić do siebie. Gdyby był tu chociaż kot... Miałaby się do kogo odezwać, a nikt by nie pomyślał, że zwariowała. Kot poza tym, pomyślała z wisielczym humorem, jest istotą mniej kłopotliwą niż mężczyzna. Szczególnie zaś taki jak Zack Forrest.

Następnego dnia obowiązki zatrzymały ją w sklepie do późna. Soboty

były zazwyczaj bardzo pracowite, a tego popołudnia musiała jeszcze wysłuchać skarg całego tłumu niezadowolonych klientów, którzy uparli się, żeby rozmawiać z samym dyrektorem. Potem zgłosił się kierownik działu kadr. Narzekał, że połowa interesantów, którymi zajmował się Zack w związku z choinką dla potrzebujących, zwała mu się na głowę z prośbą o pracę. Sporo czasu zajęła też rozmowa z poszkodowaną kasjerką z perfumerii, która wciąż jeszcze przeżywała wczorajsze zajście. Skutek był taki, że kiedy dojechała wreszcie do położonej nad jeziorem posiadłości Claytonów, czuła się nieświeżo. Gdyby nie prośba, a właściwie polecenie Whitney, poszukałaby zapewne pretekstu, żeby wykręcić się z udziału w tym przyjęciu. Spotkania tego typu uważała zresztą za stratę czasu. Uczestników nie łączyło nic poza tym, że pracowali w jednej firmie i na dobrą sprawę, zamiast stroić się i mizdrzyć, można by się zebrać w sali konferencyjnej. Tematem prowadzonych rozmów była przecież i tak wyłącznie praca.

Wszystkie okna rezydencji Claytonów jarzyły się od świateł. Po obu stronach alei dojazdowej stały ogromne, ośnieżone choinki przystrojone złotymi lampkami. Nim Brandi weszła do domu, podjechał kolejny samochód. Przyjechał nim kierownik sklepu Tyler-Royale w San Francisco w towarzystwie żony: Parę tę Brandi poznała właśnie w San Francisco, gdzie odbyła część swoich praktyk przed objęciem kierowniczego stanowiska w Oak Park.

Wieczór był zimny i bezwietrzny; oddech natychmiast zamieniał się w parę. Widząc, że Brandi czeka przed drzwiami, żona kierownika z San Francisco podeszła do niej szybko, nakłaniając ją do wejścia.

– Przywykłam do takiej aury – powiedziała z uśmiechem Brandi, całując ją w policzek. – Chciałam się przywitać, póki to możliwe, bo zaraz zgubimy się w tłumie.

Mówiła szczerze i nie miało to prawie nic wspólnego z jakimś dziwnym skrępowaniem, które odczuwała na myśl o tym, że zaraz będzie musiała wejść do środka sama. A przecież nie było w tym nic nadzwyczajnego. Tłum gości nie zatrzymałby się nagle, żeby podziwiać jej nową sukienkę z czarnego aksamitu, a wszyscy dawno przyzwyczaili się do tego, że wszędzie przychodziła sama. Doprawdy, żadna sensacja. Tak, ale Zack na pewno to zauważy. Chociaż nie skłamała, mówiąc mu, że jest z kimś umówiona, miał przecież prawo się zdziwić, widząc ją samą. E tam, pomyślała. Przecież

wcale nie musi wypatrywać jej przybycia. Nie ma się czym przejmować.

Claytonowie witali gości w holu za ciężkimi, pięknie rzeźbionymi dębowymi drzwiami. Przepuściła przed sobą parę z San Francisco, lecz chwilę później stanęła przed Rossem.

– Zastanawiam się, komu zawdzięczamy fakt, że jednak się pojawiłaś? – powiedział żartobliwie.

Spojrzała na niego, udając zaskoczenie.

– Nie rozumiem... Nigdy nie opuszczam imprez związanych z firmą, chyba że mam ważne powody.

Clayton zachichotał.

– Wiem, wiem – powiedział. – Tak się jednak składa, że do tej pory, naturalnie z przyczyn obiektywnych, nie mieliśmy szczęścia cię gościć. Nie odzywałaś się przez kilka ostatnich dni. Co tam w sklepie?

Wzruszyła ramionami.

– Świąteczny obłęd, ale to nic nowego. Nie myślałaś nigdy o tym, żeby przenieść bożonarodzeniowe przyjęcia na lipiec? Chyba wszystkim łatwiej by je było wpasować w pracę.

Uśmiechnął się lekko.

– Niezła myśl. Na pewno to rozważę. Wiesz, Brandi, co mnie w tobie fascynuje? To, że zawsze patrzysz na świat inaczej niż wszyscy.

– Dziękuję – powiedziała cierpko. – Pozwolisz, że uznam to za komplement.

– Czy Zack w dalszym ciągu tak dobrze się stara?

– To zależy... – Wzrok Brandi spoczął na aksamitnej klapie fraka Claytona, w której tkwił znaczek „Klubu Przyjaciół Świętego Mikołaja”. – Mam przytaknąć, czy chcesz znać prawdę?

– Może powinniśmy porozmawiać?

– Nie sądzisz, kochanie – przerwała żona Rossa – że dosyć już o pracy? Dziś wieczór mamy się bawić. Obiecałeś mi, pamiętasz? – Nadstawiła policzek i Brandi cmoknęła powietrze. – Szatnia dla pań jest na górze. Pozwól, pokojówka zanieś tam twoje palto.

– Dziękuję, ale chciałabym się też uczesać. Pójdę sama – powiedziała Brandi, myśląc, że gdy później zejdzie na dół, nie będzie się rzucać w oczy fakt, że przyszła na przyjęcie sama. Drażniło ją, że ta myśl aż tak ją absorbuje, ale tak właśnie było i nie potrafiła sobie z nią poradzić. Ze schodów wiodących na piętro widać było cały zgromadzony w pokoju tłum.

Poszukała wzrokiem Whitney, lecz nie usiłowała nawet się oszukiwać – zmartwiło ją przede wszystkim to, że nigdzie nie widzi Zacka.

W zamienionym na szatnię gościnnym pokoju zastała kilka pań. Rozmawiały, poprawiając makijaż i fryzury. Powietrze było ciężkie od zapachu perfum i lakieru do włosów. Położyła swoje okrycie na łóżku, przeczesała szybko złocistorude loki i czym prędzej wyszła. Jeśli nawet zachowała się niezbyt grzecznie, wołała narazić się na niepochlebną opinię niż alergiczny katar. I tak łzawiły jej już oczy, więc po wyjściu na korytarz przystanąła na moment, żeby osuszyć je chusteczką.

Zza drzwi, które minęła, dochodził kobiecy głos i śmiech. Słysząc też było dobiegające z innego pomieszczenia dziecięce przekomarzanie. Dzieciaki Claytonów, pomyślała. Rodzicom pewnie się wydaje, że są jak aniołki. Postąpiła krok w kierunku sypialni czy bawialni i zatrzymała się. Nie należało się wtrącać. Dzieciom zapewne towarzyszyła opiekunka lub niania. Były za małe, żeby mogły być pozostawione samym sobie.

Nagle drzwi się otworzyły i stanęła w nich mała, najwyżej trzyletnia dziewczynka. Podciągnęła różową nocną koszulę i śmigając gołymi kolanami, pobiegła w stronę Brandi. Zaraz też wybiegł z pokoju jakiś bardzo wysoki mężczyzna, który dogonił ją i przerzucił sobie przez ramię. Dziecko piszczało uszczęśliwione.

– Cicho bądź, Kathleen – powiedział mężczyzna – bo jak nie, to zaraz przyjdzie mama i skończy się zabawa.

Ta pełna ciepła i serdeczności scena wyjaśniła Brandi przyczynę, dla której Ross uznał, że Zack okaże się dobrym Świętym Mikołajem.

– Serwus, Zack – powiedziała, wyłaniając się z nieoświetlonej wnęki. – Masz problemy?

– Można to i tak określić. Ta mała mucha rozwiązała mi krawat i uciekła.

Brandi przyjrzała mu się lepiej. Ciemne spodnie, z których wychodziła biała koszula, były trochę pogniecione. Na szyi wisiał rozwiązany krawat. Bardzo jej się taki podobał.

Dziewczynka roześmiała się radośnie i znowu chwyciła /a krawat.

– Mam cię, wujku!

Wujek? – Brandi myślała szybko. Wspominał o jakiejś siostrze. Czy to możliwe, że była nią żona Rossa?

– To ja cię mam, urwisie. – Przesunął sobie dziecko na ramieniu.

– Jesteś jej wujkiem? – spytała. – Nie wiedziałam, że jesteście

spokrewnieni.

– Nie jesteśmy. To czysto honorowy tytuł. – Uważnie popatrzył na jej twarz. – Czy stało się coś złego?

– Nie. A czemu pytasz?

– Wyglądasz, jakbyś płakała.

– Nie, nie... – Pokręciła głową i wrzuciła chusteczkę do czarnej wieczorowej torebki. – To przez te stężone zapachy w szatni. Od nadmiaru perfum kicham i zaraz mi się robią mokre oczy.

Mała Kathleen zapiszczała, żeby spuścić ją na ziemię, i Zack lekko postawił ją przed sobą, nie wypuszczając z rąk.

– Bawisz się w opiekunkę?

– No cóż. Nie chciałaś pójść ze mną na bal, więc pomyślałem sobie, że zrobię przynajmniej coś pożytecznego. Tam na dole musi być śmiertelnie nudno. Pobaw się lepiej z nami.

Mówił lekkim tonem, lecz sposób, w jaki na nią patrzył, nie miał nic wspólnego z żartami. Bardzo powoli przeniósł wzrok z rozpuszczonych włosów, które złotorudą falą spływały Brandi na plecy, na obcisłą czarną sukienkę i pantofle na wysokim obcasie, po czym znowu spojrzął jej w twarz. Poczula, że robi się jej gorąco. Nagle przypomniała sobie ostrzeżenie, które rzucił pod koniec ich pierwszej rozmowy w gabinecie. Powiedział, że kiedyś przyjrzy się jej tak samo dokładnie, jak ona jemu. Ta chwila miała miejsce właśnie teraz.

– Kathleen nie dała mi dokończyć gry ze swoim starszym bratem. Wracam więc. Idziesz z nami?

Brandi zawahała się.

– Chyba nie. Nie mam pojęcia o zabawie z dziećmi.

Uśmiechnął się.

– A myślisz, że jak się tego ludzie uczą?

– Ktoś na mnie czeka – przypomniała sobie z ulgą.

Spojrzenie Zacka prześliznęło się raz jeszcze po całej jej figurze.

– No tak – wymruczał. – I zapewne bardzo się niecierpliwi. Rozumiem dlaczego.

Niski, jakby nieco schrypnięty ton głosu Zacka zelektryzował Brandi. Nagle zatrzepotało w niej serce, oddech urywał się. Odwróciła się do schodów, próbując zachować godny wyraz twarzy, ale chyba nie bardzo się jej to udawało.



## Rozdział 7

Nim uświadomiła sobie, że powinna stojąc na schodach wyłowić Whitney z tłumu, znalazła się na dole. Próbując precyzyjnie się przez zatłoczony hol i wejść do dużego pokoju, zauważyła, że machają do niej znajomi stojący przy olbrzymiej, strojonej choince. Uśmiechnęła się jednak lekko i pokręciła głową. Musiała znaleźć Whitney.

Zauważyła ją wreszcie w sali koktajlowej i ucieszona, z kieliszkiem szampana w dłoni, ruszyła w jej stronę, gdy zatrzymał ją kierownik sklepu z Minneapolis. Pytał, jak sobie poradzi z wprowadzonym ostatnio nowym systemem księgowania, i wywiązała się dwudziestominutowa rozmowa. W jej trakcie zakończył się godzinny koktajl i goście zaczęli wychodzić do innych pomieszczeń.

Brandi rozglądała się znowu za swoją przyjaciółką, gdy pojawiła się nagle przy niej – wysoka i smukła w białej jedwabnej sukni z szokująco dużym dekoltem.

– Jesteś – powiedziała z ulgą. – Myślałam już, że mimo wszystko wystawiłaś mnie do wiatru.

– Nie ośmieliłabym się – przyznała szczerze Brandi i uściśniła ją. – Wyglądasz przepięknie.

Mężczyzna stojący obok Whitney chrząknął znacząco. Odwróciła się do niego z uśmiechem.

– Wiem dokładnie, co myślisz na temat mojego dekoltu, więc bądź łaskaw już tego nie komentować. Brandi, zapewne pamiętasz Maxa?

– Naturalnie. – Wyciągnęła rękę do męża przyjaciółki.

Whitney rozejrzała się po pokoju.

– Chyba powinniśmy już przejść na teren basenu, bo tam właśnie mamy jeść kolację. – Zerknęła na Brandi. – Nie dziwisz się? Przyznam ci się, że kiedy Ross mi o tym powiedział, w pierwszym momencie pomyślałam, że żartuje.

– Hm... Basen jest piękny. Tyle że...

– Chciałaś powiedzieć: był. Położyli tam teraz parkiet, to znaczy... coś w rodzaju pomostu zawieszono nad wodą. Wyobrażasz sobie? – Entuzjazmowi Whitney towarzyszyło jednak jakieś wewnętrzne rozproszenie. Przez cały czas rozglądała się, jakby kogoś wypatrując.



– No i gdzie on się podziewa? – powiedziała w pewnej chwili niecierpliwie. – Przed sekundą go widziałam.

– Mówisz o Rossie? Był w holu, kiedy zesłam na dół z szatni, ale od tego czasu minęło już przynajmniej pół godziny.

– A po co niby miałabym szukać Rossa?

– No to kogo? – Brandi czuła, że ma spocone ręce.

– Nie patrz tak na mnie, kotku – odpowiedziała drwiąco Whitney. – Nie jestem swatką.

– Z całą pewnością. Masz na to zbyt wiele rozumu.

– Terefere. Gdybym sądziła, że to coś da, to czemu nie? Ale dziś jestem absolutnie bez grzechu. Jest tutaj nowy kierownik z Seattle. To jego pierwszy bal w naszym gronie, pomyślałam więc, żeby mu pomóc. Niechby się poczuł jak w rodzinie.

A zatem nie chodziło o Zacka. Brandi była na siebie wściekła. Niby dlaczego Whitney miałyby się interesować właśnie nim? Przecież w tak licznych zgromadzeniach znajdował się zapewne niejeden kawaler. A poza tym, kto powiedział, że go w ogóle znała? Wymieniła kiedyś przy nim jej imię i nie wzbudziło to u niego jakiegokolwiek reakcji.

– Idziemy! – zniecierpliwiła się Whitney. – Nie ma co czekać. I tak prędzej czy później do nas dołączy, bo mamy siedzieć przy jednym stoliku.

Basen mieścił się w nowym, dobudowanym skrzydle budynku. Duża, przeszklona przestrzeń nadawała się też zimą na cieplarnię. Wszystkie załomy i kąty wypełniała zieleń. Dzisiejszego wieczoru pokryte śniegiem trawniki były oświetlone tak samo jasno jak wewnątrz, toteż można było odnieść wrażenie, iż szklanych ścian w ogóle nie ma, a w zimowym pejzażu wyrosła nagle tropikalna wyspa. Stoliki, każdy dla czterech osób, ustawiono w poprzek sali. Kto by wcześniej nie wiedział, mógłby się nie domyślić, że na środku znajduje się basen. Przykrywał go teraz podwyższony o stopień drewniany parkiet.

– Wygląda solidnie – zauważyła Brandi.

– Całe szczęście – mruknęła Whitney. – W przeciwnym razie nogi bym na nim nie postawiła.

Nagle talię Whitney otoczyło czyjeś ramię. Zaskoczona odwróciła głowę i dostała całusa w policzek. Brandi zamarła. Zack. W czarnym fraku. Od pierwszej chwili, kiedy go poznała, wiedziała, że w czarnym kolorze jest mu znakomicie, ale teraz zrobił na niej wrażenie wręcz oszałamiające. Z całą

pewnością nie wyglądał na kogoś, kto jeszcze niedawno zajmował się dwójką niesfornych dzieci.

Nie zwracając najmniejszej uwagi na Brandi, wpatrywał się w Whitney, jakby była obiektem jego najgorętszych marzeń i snów.

– Piękna suknia – zauważył z zachwytem. – Co prawda trochę się dziwię Maxowi, że pozwala ci się pokazywać z takim dekoltem.

– Uważaj, co mówisz, Zack – ostrzegł Max. – W przeciwnym razie, kiedy twoja żona wystąpi w podobnej sukience, odpłacę ci pięknym za nadobne.

Żona? Brandi poczuła, że coś się z nią dzieje. Zaraz, zaraz... Proponował, żeby poszła z nim na przyjęcie. Ale... Naturalnie. Czy ktoś w ogóle powiedział, że nie jest żonaty? Nie. A więc o co chodzi?

– Z największą radością doradziłabym jej wybór właśnie takiej sukienki – powiedziała ze śmiechem Whitney. – Nim jednak się ożenisz...

Uczucie głębokiej ulgi odebrało Brandi na moment wszystkie siły, a potem przerodziło się w złość. Nie dosłyszała końca wypowiedzi przyjaciółki, skupiona wyłącznie na Zacku. Uśmiechnął się do niej.

– Nasz stolik stoi dokładnie na brzegu basenu – powiedział, biorąc ją za rękę. – Czy to nie urocze?

Jak to nasz? – pomyślała ze zdziwieniem. Nie dalej jak przed minutą Whitney twierdziła przecież, że miejsca zostały ustalone.

– Chwileczkę – powiedziała ostro, zwracając się do niej. – Ten pan jest nowym kierownikiem z Seattle?

Zack wyglądał na przerażonego.

– Kto ci to powiedział?

– Ależ skąd! – zaprzeczyła szybko Whitney. – I nie będzie siedział z nami przy kolacji. Prawdę mówiąc, nie zamierzam ci go nawet przedstawiać. Zack, bardzo cię proszę, bądź tak miły i spłyń.

– Nie musisz nas sobie przedstawiać – odezwała się Brandi. – Zdążyliśmy się już poznać. – Sposób, w jaki na nią patrzył, sprawił, że poczuła się nieswojo. Przez cały czas trzymał ją za rękę, ale uświadomiła to sobie dopiero w momencie, gdy pocałował jej dłoń.

– Kiedy? – Whitney nie ukrywała, że jest przejęta.

– Postanowiłem zapoznać się osobiście z wszystkimi ładnymi kobietami na tym przyjęciu. – Pociągnął Brandi do stolika i odsunął dla niej krzesło.

– Widzę – powiedziała oschłym tonem Whitney. – i właśnie dlatego nie

miałam zamiaru przedstawić cię Brandi. O, nie! Brandi nie jest pierwszą lepszą ładną kobietką. Jest warta trzech takich jak ty. Zjeżdżaj, dobrze?

Nic nie wskazywało na to, żeby zamierzał się podporządkować woli Whitney. Brandi odczuła nawet coś w rodzaju satysfakcji. Oto okazywało się, iż nie była jedyną osobą, którą najzwyczajniej sobie lekceważył. Posadził ją z galanterią, a następnie obszedł stół, żeby odsunąć krzesło dla Whitney. Spojrzała na niego niechętnie, lecz w odpowiedzi wskazał jedynie małe karty z nazwiskami, umieszczone przy każdym nakryciu. Odczytała je i usiadła z westchnieniem.

– Czy jest coś, do czego byś się nie posunął, Zack? Wydawać by się mogło, że podmienianie kart jest poniżej twojego poziomu, a jednak...

– Nawet ich nie dotknąłem.

– Pewnie. Tylko ktoś, komu dałeś w łapę.

– I tak nie odpowiadałby ci ten gość z Seattle. Temperament ogrodowego winniczka. Zanudziłby cię na śmierć już przy przystawkach.

– Co z całą pewnością z tobą nikomu nie grozi – skomentowała drwiąco.

– A tak naprawdę, to jak się poznaliście?

– Zack jest najnowszym Świętym Mikołajem w Oak Park.

– Co? – Whitney niemal oniemiała.

– Ross ci o tym nie powiedział? – zapytał Zack.

– Nie mów mi, że to jego pomysł – rzuciła stanowczo Whitney.

– W każdym razie na pewno nie mój – mruknęła z niechęcią Brandi.

Kelner podał przystawki – ogromne krewetki w winegrecie.

– Nie wspomniał ci o tym? – Zack zwrócił się ponownie do Whitney. – Pewnie dlatego, że martwi się o mnie. Mam kłopoty.

– Zapewne jednak szybko staniesz na nogi.

– Zapewne.

– Nie mogę się doczekać, żeby to zobaczyć.

– Jak staję na nogi, czy jak gram Świętego Mikołaja? Jeśli chcesz, zapraszam jeszcze dziś. Zgodnie z planem, pracuję przez ostatnią godzinę przed zamknięciem sklepu. – Zerknął na zegarek. – Brandi, przypomnij mi, kiedy będę musiał wyjść.

– Co za głupi rozkład – powiedziała Whitney.

– Nie narzekam.

– I słusznie – wtrąciła miękko Brandi. – Sam się na niego zdecydowałeś, choć mogliśmy uzgodnić inny.

Uśmiechnął się.

– Mam rozumieć, że wołałabyś, żebym został? To cudownie, bo gdybym musiał zaraz wyjść, oboje mielibyśmy zmarnowane przyjęcie.

Whitney miała minę, jakby napiła się octu, ale nie odezwała się ani słowem. Brandi obserwowała ją z prawdziwym zdumieniem. Znały się od kilku lat, nigdy jednak nie widziała jej aż tak zdeprymowanej.

– Szkoda, że załapałeś się tylko na sezon – powiedziała w końcu cierpko.  
– Mógłbyś zrobić prawdziwą karierę.

– Niezła myśl. Już się widzę w roli Świętego Walentego, jakiegoś krasnoludka, a nawet wielkanocnego zajączka.

Nim skończyli przystawki, rozległy się pierwsze takty muzyki i Max poprosił Brandi do tańca. Nie miała na to najmniejszej ochoty, lecz nie wypadało odmówić. Melodia miała powolny, łatwy rytm, toteż Brandi bez trudności mogła zerkać znad ramienia swego partnera na zatopioną w rozmowie parę przy stoliku.

– Ciekawe, o czym tak ze sobą szepczą – powiedziała.

– Zapewne nie o wielkanocnym zajączku...

– Odbijany. – Maxa zastąpił Ross Clayton.

– Zastanawiam się, jakiego haka ma na ciebie Zack Forrest? – powiedziała, gdy Max nie mógł jej już słyszeć.

– Masz na myśli jakiś materiał obciążający? – zapytał, jakby go to szczerze bawiło. – Co on ci takiego naopowiadał?

– Sęć w tym, że nic. – Całe szczęście, że w ostatniej chwili potrafiła ugryźć się w język. Nie bardzo to eleganckie skarżyć się szefowi z powodu trudności, z którymi powinna uporać się samodzielnie. – Dobrze go znasz?

– Niezłe. Możesz się nie obawiać... to trochę lekkoduch, ale zupełnie nieszkodliwy.

– Miło to słyszeć – mruknęła pod nosem, zastanawiając się, co by na to powiedział kierownik działu kadr, któremu Zack podesłał dziś tłum swoich interesantów z prośbą o pracę. Była to sprawa, którą z Imć Panem Lekkoduchem należało omówić przy pierwszej sposobności.

Zack klepnął Rossa w ramię.

– Coś mi mówi, że mnie obgadujecie – szepnął z uśmiechem. – Ale, ale... Czy Brandi ci powiedziała, że kierownik działu zabawkarskiego, który po świętach odchodzi na emeryturę, chce, żebym objął jego stanowisko? Nie? Tak właśnie myślałem.

Objął ją w talii w momencie, gdy orkiestra zaczęła grać nową, sentymentalną melodię.

– Nie powiedziałam, bo nic mi o tym nie wiadomo... – Nagle zmyliła krok, a kiedy przygarnął ją mocniej do siebie, poczuła się jeszcze niepewniej. Szumiało jej w głowie, lecz nie potrafiłaby określić, czy dlatego, że znalazła się w jego objęciach, czy też z powodu ostatniej rewelacji. Jedno jednak było pewne: sama myśl o tym, że Zack Forrest miałby objąć na stałe stanowisko w sklepie, wyprowadziłaby każdego kierownika z równowagi. Podniosła wzrok.

– Ross wspomniał mi – odezwała się bardzo skrepowana ich bliskością – że zaskoczyłeś go wprowadzeniem specjalnych zamówień na nowy typ zabawek.

– Wiem. Jest ze mnie bardzo dumny. Zwiększenie asortymentu...

– Czyżby? Odniosłam wrażenie, że jest zaniepokojony. Będzie świetnie, jeśli się spodobają, ale jeśli nie? Wyobrażam już sobie skargi niezadowolonych rodziców i dzieci.

– To znaczy, że moglibyśmy spróbować? Nikomu nic na pewno nie obiecywałem.

Pokręciła głową.

– Czasami warto uważać na to, co się mówi. Choćbyś zapowiadał coś najostrożniej, klient myśli, że to obietnica. A potem są narzekania i robi się afera.

– Zawsze tak się bronisz przed ryzykiem?

Zastanowiła się.

– Oczywiście, że nie. Co to za kierownik sklepu, który nie ryzykuje. Daleko bym nie ujechała.

– To znaczy, że tym razem wahasz się wyłącznie ze względu na mnie?

– Hm... Sam chyba przyznasz, że różnisz się dość zasadniczo od przeciętnych pracowników.

Nie uśmiechnął się, jak przewidywała, a chwilę później poprosił:

– Czy moglibyśmy odłożyć sprawy pracy na kiedy indziej? Cieszymy się. To przecież bal!

– Ależ ja się cieszę! – Powiedziała to tak spontanicznie i szczerze, że aż się przestraszyła. Mógł uznać, iż to jego obecność wprawia ją w takie zadowolenie.

– Czy jesteś szczęśliwa?

Dziwne pytanie.

– Zależy, co przez to rozumiesz – odpowiedziała niepewnie. ' – Oczywiście, że nie co dzień jestem radosna jak skowronek, ale nie narzekam. Lubię swoją pracę...

– I to ci wystarcza do szczęścia?

– Stawiam sobie pewne cele, oczywiście. Ale... – Czują, że ta rozmowa zaczyna ją złościć. – Mieliśmy przecież nie mówić o pracy. A w ogóle, o co ci chodzi? Ludzi stuprocentowo szczęśliwych prawie nie ma. Może wystarczy zwykłe zadowolenie i poczucie satysfakcji.

– Nie wystarczy. Życie ma do zaoferowania także fantastyczną radość, coś, co upaja, uskrzydla.

Pokręciła głową.

– Na pewno. Ale to niebezpieczne.

– W każdym razie nie nudne.

Zapadła cisza. Brandi miała wrażenie, że rozmowa stała się zbyt poważna. Dlaczego problem szczęścia wydał się jej nagle trudny i nieznośny?

– Co zrobiłeś z tym facetem z Seattle? – zapytała, żeby zmienić temat.

– Nic takiego. – Uśmiechnął się. – Przedstawiłem go pewnej damie z Atlanty...

– Przed podmienieniem kart, czy już po?

– Brandi, bo się pogniewam... Ja tego nie zrobiłem. To on.

– Ale mu to zasugerowałeś?

– Powiedziałem mu jedynie, gdzie kto siedzi. Proszę cię, nie potraktuj tego jak afront, ale dama jest rzeczywiście atrakcyjna...

– W takim razie – przerwała z ironią – dziwię się, że nie zarezerwowałeś jej dla siebie.

Zack uśmiechnął się i objął ją mocno. Czują jego oddech na swojej skroni. Miała ochotę wspiąć się na palce i pocałować prześliczny dołeczek w policzku, a potem zamknąć oczy, położyć Zackowi głowę na ramieniu i zapomnieć o całym świecie. Ostatkiem woli zdołała odwrócić wzrok i z prawdziwą ulgą dostrzegła, że do ich stolika podszedł kelner z gorącymi daniami. Zack również to zauważył.

– Nie miał kiedy – wymruczał pod nosem, sprowadzając ją z parkietu. Udała, że nie słyszy, lecz czują, że serce tłucze się w niej jak oszalałe. Dlaczego tak się zirytował? I co by się stało, gdyby nie otaczał ich tłum

ludzi?

Kiedy zasiedli do stołu, Whitney zmierzyła ich wzrokiem. Nie było to spojrzenie nieprzyjazne, raczej taksujące. Brandi próbowała nadrabiać miną.

– No i co tak patrzysz? Wyglądasz, jakbyś przeprowadzała inspekcję – powiedziała ze śmiechem.

Przyjaciółka przemilczała tę uwagę.

– Słyszałam, że miałaś ostatnio niezłą aferę w sklepie.

– Mówisz o napadzie na kasjerkę? – Brandi podniosła do ust widelec z kawałkiem żeberka. Mięso było tak delikatne, że niemal rozpływało się w ustach. – Trzeba chyba będzie zorganizować jakieś szkolenie z samoobrony dla wszystkich pracowników.

– A co z dziewczyną? – wtrącił Zack. – Wyszła już z szoku?

– Tak. Z tego, co zdołałam zauważyć, to całkowicie. Byłam u niej dzisiaj po południu. Chce wracać do pracy już jutro.

– Tak szybko?

– Nie kpij, Zack. Proponowałam jej parę dni wolnego, ale mówi, że im dłużej się coś rozpamiętuje, tym trudniej wziąć się w garść. Przyznaję jej rację.

– Zwłaszcza gdy brakuje rąk do pracy – mruknął złośliwie.

– Właśnie.

Uśmiechnął się i nie wracali już do tego tematu. Zaraz po kolacji pociągnął ją znowu na parkiet. Orkiestra grała sentymentalne melodie. Brandi straciła poczucie czasu. Odzyskała je dopiero wtedy, gdy Zack przesunął ją lekko w ramionach, żeby spojrzeć na zegarek.

– Nie musisz jechać... – mruknęła.

– Dobrze ci, co? – wyszeptał miękko. – Sklep dawno już zamknięto. Dochodzi północ.

– Naprawdę? – Czas był jej w tej chwili tak obojętny, że aż samą ją to zdziwiło. – Boisz się, że kiedy wybije dwunasta, czar pryśnie i Kopciuszek zniknie?

– Bajki. – Uśmiechnął się. – Dzieciaki Claytonów miały zamiar uprosić nianię, żeby pozwoliła im buszować przez całą noc. Obiecałem, że o północy wpadnę na moment. Pójdiesz tam ze mną?

Nawet się nie zawahała.

W pokoju, z którego wybiegł przed paroma godzinami, panowała obecnie cisza. Na biurku w rogu paliła się nocna lampka. Był to pokój

chłopca. Leżał teraz zwinięty w kłębek na górnym materacu piętrowego łóżka, przykryty wzorzystym kocem z galopującymi kowbojami. Na dole, w otoczeniu lalek i pluszaków, wtulając zaróżowioną buzię w futerko czarno-białej pandy, spała dziewczynka. Wykopała się spod kołderki i Zack okrył ją troskliwie.

– Jeden zero dla niani – szepnął. – Smyki padły.

– Musisz być do nich bardzo przywiązany – powiedziała poruszona czułością, z jaką patrzył na uśpione dzieci.

– Są naprawdę niezwykle. – Poprawił pościel małego i wyszli na korytarz.

U szczytu schodów zatrzymał się i odwrócił ją twarzą ku sobie. Niemal automatycznym ruchem położyła mu ręce na piersi. Nie potrafiłaby wyjaśnić, czy był to gest obrony, czy też – przeciwnie – spontaniczny wyraz potrzeby bliskości. Mimo przyciemnionego światła na jej lewej ręce zaśnił brylant. Przez ułamek chwili Zack patrzył na pierścionek.

– Pozwól – powiedział, ściągając go. Chciała zaprotestować, lecz nim wydobyla z siebie choćby słowo, włożył go jej na palec prawej ręki. – Tak będzie znacznie lepiej – wymruczał, przytulając ją do siebie.

W jednej sekundzie przez głowę Brandi przebiegły dziesiątki myśli, z których każda z jakiegoś tam powodu krzyczała, że nie powinna mu na to wszystko pozwolić. Przebiegły i zniknęły. Podniosła ręce, objęła jego twarz i przyciągnęła ją do siebie. Całowali się dzisiaj inaczej niż przedtem, miała upajające poczucie, iż czułość i namiętność Zacka należały wyłącznie do niej, że z nikim na świecie nie byłoby mu tak dobrze.

– Muszę ci coś powiedzieć – wyszeptał chrapliwie. – Ale nie teraz i nie tutaj.

Nie była w stanie mówić. Kiwnęła jedynie głową na znak, że się zgadza i rozumie, gdy na schodach dały się słyszeć kroki. Ledwie zdążyli od siebie odskoczyć.

– O, jesteś, Zack – ucieszył się jakiś mężczyzna, w pierwszej chwili nie zauważając Brandi. Musiał być znajomym Claytonów, ale chyba nie pracował w kierownictwie Tyler-Royale, bo rozpoznałaby go po głosie. – Jak tam twoje zabawki? Miałem cię właśnie spytać...

Zack machnął ręką, jakby chciał przerwać znajomemu. Rozumiała go doskonale; gdyby ktoś zechciał z nią teraz rozmawiać o, na przykład, księgowości, potraktowałaby go z takim samym zniecierpliwieniem.



– Przepraszam na moment – mruknęła.

– Będę czekał na dole – usłyszała, wymykając się do szatni.

Niespodziewanie zastała w niej Whitney, która przy toalecie malowała sobie rzęsy. Widząc w lustrze wchodzącą przyjaciółkę, zmrużyła oczy. Zupełnie jakby przyglądała się pocałunkom, od których wciąż paliły ją wargi. Brandi poczuła się jak winowajca. Whitney skończyła nakładać tusz i przybliżyła twarz do lustra.

– Nie powinnam ci pewnie udzielać rad – powiedziała cicho – ale wystrzegaj się Zacka.

Brandi nie spojrzała na nią, udając, że szuka w torebce szminki.

– Dlaczego? Nie lubisz go?

– Ależ lubię, lubię. Wszyscy go lubią. Jest przeuroczy jak większość podobnych mu czarusiów. Tyle że nigdy nie wiadomo, do czego tak naprawdę zmierza. A już całej tej zabawy w Świętego Mikołaja w ogóle nie rozumiem.

Brandi starannie umalowała usta.

– Myślałam – powiedziała, udając, że w gruncie rzeczy niewiele ją to obchodzi – że może pracuje dla Rossa w charakterze... no wiesz... „spadochroniarza”.

Whitney prychnęła wzgardliwie, sięgając po torebkę.

– Wątpię, czy byłoby go stać na tak odpowiedzialną pracę. No nic. Uważaj z nim, Brandi – rzuciła i nie czekając na odpowiedź, wyszła.

Po paru minutach szatnia napełniła się znowu gwarem, śmiechem i ciężką wonią perfum. Brandi poczuła, że zaczyna ją boleć głowa, i czym prędzej wyszła. Na szczycie schodów nie było już nikogo. Zack zapewne zszedł na dół. Przystanęła, próbując uspokoić myśli, gdy z pokoju naprzeciwko szatni dobiegł zirytowany głos Whitney:

– Co to ma znaczyć, Ross? Zack nie powiedział mi o co chodzi, ale szkoliłam Brandi, znam ją od wielu lat, i mam prawo wiedzieć. Dlaczego wsadziłeś Zacka do Oak Park?

## Rozdział 8

Brandi zacisnęła dłoń na balustradzie schodów tak mocno, że gdyby nie oszołomienie, odczułaby zapewne ból. Nie dalej jak przedwczoraj pytała Zacka, czy przysłano go do Oak Park na przeszpiegi. Zaprzeczył kategorycznie, oświadczając wprost, że problemy, z którymi się boryka, są jego prywatną sprawą i nie mają nic wspólnego ani ze sklepem, ani z jej osobą. A potem całował ją tak gorąco, że przestała myśleć. Być może zresztą o to mu właśnie chodziło i jeśli zamierzał tym sposobem uspić jej czujność, to trzeba przyznać, że mu się to udało. A jeżeli Whitney po prostu się myliła? Lżej byłoby pogodzić się z tym, że przyjaciółkę ten jeden jedyny raz zawiodła intuicja i zawodowe doświadczenie, niż uwierzyć, że Zack kłamał. Podejrzenia Whitney niepokoiły ją, lecz być może wynikały z nieporozumienia. Pokrzepiona tą myślą Brandi zaczęła już schodzić na dół, gdy usłyszała odpowiedź Rossa.

– Mam w tym swój cel, Whitney. W tej chwili nie mogę ci jeszcze nic powiedzieć.

Brandi znieruchomiała. A zatem podejrzania Whitney, podobnie jak jej własne, były uzasadnione. Zack kłamał. Nie zdążyła ochłonąć z wrażenia, gdy usłyszała skrzypienie drzwi. Ross i Whitney wychodzili z pokoju. Woląла nie ryzykować teraz spotkania z nimi. Nie czuła się na siłach, by zażądać natychmiastowych wyjaśnień od swego szefa, nie zniosłaby też współczucia w oczach przyjaciółki. Nie mogła jednak również tak po prostu zbiec na dół. W tym stanie ducha nie ręczyła za siebie i spotkanie z Zackiem mogłoby się zamienić w awanturę. Odczekała więc chwilę w zaciemnionej wnęce, a kiedy Whitney i Ross wyminęli ją, najciszej jak to możliwe zeszła po schodach. Gdybyż tak udało się dać nogę, zanim ktokolwiek to zauważy. Nie miała jednak szczęścia. Była już prawie u drzwi, gdy dogonił ją głos Clayтона.

– Brandi! Już wychodzisz?

Odwróciła się, chowając głowę w ramionach i zasłaniając część twarzy kołnierzem palta.

– Jest bardzo miło – powiedziała – ale przede mną ciężki dzień. Mam nadzieję, że się nie pogniewasz. Do widzenia, dziękuję.

Na dworze panował przenikliwy ziąb. W ciągu kilku godzin temperatura

musiała bardzo spaść albo też po tych wszystkich przeżyciach tak się jej tylko wydawało. Czekając, aż przyprowadzą jej samochód, starała się nie zerkać za siebie przez ramię. Zack zapewne czekał wciąż na nią, nieświadom, że właśnie ucieka z bankietu. „Muszę ci coś powiedzieć”, mówił. „Coś”, to znaczy co? Czy chciał coś wyjawić? A jeśli tak, to czym by tłumaczył swoje kłamstwa? Być może rano potrafiłaby go wysłuchać. Teraz jednak zaczęłaby chyba krzyczeć.

Po niemal bezsennej nocy Brandi zjawiała się w Oak Park wcześniej, lecz trudno się jej było zabrać do jakiegokolwiek pracy. W sklepie panował spokój charakterystyczny dla niedzielnego poranka. Był to czas, który poświęcała zazwyczaj skrupulatnemu przeglądowi wystaw i porządku na stoiskach. Pod nieobecność personelu i klientów widać było lepiej szczegóły – zużyte dekoracje, chwiejące się manekiny, nierówne rzędy półek. Dzięki dyskretnemu usuwaniu wszystkich tych niedociągnięć z początkiem tygodnia, sklep wyróżniał się w całej sieci Tyler-Royale, na czym zawsze bardzo jej zależało. Dziś jednak nie miała serca do porządków. Wracała myślami do balu i, co dziwne, nie tylko do jego raptownego zakończenia, lecz także do chwili radości. Nawet w nocy, udręczona do ostatka, ledwie przymknęła oczy, zanurzyła się znowu w upojnym rytmie tańca z Zackiem. Rozmowa podsłuchana na schodach schodziła na dalszy plan.

Rozpamiętywanie czułych chwil prowadziło jednak donikąd. Brandi wiedziała, że musi wziąć się w garść. Upłynęła dopiero połowa sezonu i szczyt świątecznych zakupów był wciąż jeszcze przed nimi. Należało sprawdzić, czy sklep jest dostatecznie zaopatrzone w artykuły, które sprzedawały się w Oak Park najlepiej, i czy pewnych towarów nie ma za dużo. Wszystkie te dane mógł jej oczywiście podać komputer, ale dawno już nauczyła się wierzyć bardziej własnej intuicji niż jakimkolwiek statystykom.

Szczególne uwagę poświęciła działowi zabawkarskiemu. Towar schodził dobrze, ale do tej pory nic nie wymagało uzupełnień. Pudełka z zabawkami i grami nie piętrzyły się już pod sufit, półki jednak były wciąż pełne. Ciekawe, na których z nich Zack robił swoje porządki, pomyślała i przeszła szybko do działu elektronicznego i z gospodarstwem domowym. Nim skończyła obchód, pojawili się pracownicy. Zapaliły się światła, rozbrzmiały kolędy, a zaraz potem głównym wejściem do sklepu wlała się fala ludzi. Wszystkie niedziele w sezonie były ruchliwe, ta jednak zapowiadała się

szczególnie pracowicie. Opady śniegu powstrzymały tempo świątecznych zakupów, ale czas naglił i należało odrobić zaległości.

W parę minut po otwarciu we wszystkich działach kłębił się tłum. Brandi dwoiła się i troiła. Witowała się z klientami, kierowała ich do stoisk, o które pytali, przez pewien czas siedziała nawet przy kasie w dziale damskiej odzieży sportowej, gdy Casey Amos i jej nowa praktykantka, Theresa Howard, zajmowały się klientkami. Pani Howard przepraszała, że wszystko robi za wolno, ale Brandi pocieszyła ją, że i jej samej wydawało się kiedyś, że ma dwie lewe ręce i nigdy nie nauczy się tej pracy. Widząc, że sytuacja na piętrze została jako tako opanowana, Brandi ruszyła do swego gabinetu, gdzie czekały na nią dokumenty, których nie zdążyła przygotować przed otwarciem sklepu.

Mijając dział obsługi klienta, zauważyła dwóch pracowników uwijających się przy pakowaniu. W korytarzu stała kolejka osób ubiegających się o pomoc. Gdzie Zack? – pomyślała z irytacją. Nie miała czasu sprawdzać, czy zgodnie z rozkładem powinien być w pracy rano, ale wydawało się jej, że tak. Chociaż... Ubiegłego wieczoru dała mu do zrozumienia, że bezduszny plan daje się uelastyczyć, może więc postanowił wrócić do ustalania sobie godzin według własnego widzimisię. A może w ogóle nie zamierzał się już pojawić? Może rozmowa Whitney z Rossem zachwiała dotychczasowymi ustaleniami i kiedy sekret, przynajmniej częściowo, się wydał, misja Zacka została zakończona?

Kiedy rozmawiała przez chwilę z kobietą, która po złożeniu zamówienia dziękowała jej za odzież, jaką od Tyler-Royale miały otrzymać na Gwiazdkę jej dzieci, poczuła nagle na sobie jego wzrok.

– Dostanie pani wszystko, o co pani prosi – powiedziała szybko, poruszona biedą i wdzięcznością nie znanej matki, i nie podnosząc przysłoniętych mokrymi od łez rzęsami oczu, zobaczyła go jak przez mgłę. Stał w korytarzu oparty o ścianę. Nie miał na sobie stroju Świętego Mikołaja, lecz czarną skórzaną kurtkę i zwykłe dzinsy. Klientka podziękowała jeszcze raz, mocno uściśnęła jej rękę i wyszła.

Brandi powoli wpięła wypełnione formularze do skoroszytu. Nie zauważyła, kiedy Zack podszedł do niej, lecz nie musiała podnosić oczu, żeby wiedzieć, że jest tuż obok. Biodrem niemal opierał się o jej ramię. Zrobiło się jej gorąco.

– No i kto teraz składa pochopne obietnice? – powiedział.

Udała, że nic się nie dzieje.

– Moje obietnice nie są pochopne. Jeśli chodzi o tę panią, osobiście wszystkiego dopilnuję. Nie musisz nawet wieszać gwiazdek na choince.

– Sama zrobisz dla niej zakupy i zapakujesz ślicznie? Zadziwiasz mnie, Brandi.

Unieruchomiona na swoim krześle, stojącym przy samej ścianie, poczuła się nagle drobna i bezradna, ale w jednej chwili postanowiła, że za żadne skarby świata nie da mu tego odczuć. Nikt nie poskromi jej tylko dlatego, że siedzi na stole z miną zwycięzcy.

– Kierownik supermarketu na dole zaoferował paczki żywnościowe dla naszych potrzebujących – powiedziała.

– Może zechciałbyś z nim o tym pomówić?

Zack skinął głową, ale się nie odezwał.

– A tu są formularze. – Podniosła do góry skoroszyt.

– Mam nadzieję, że będą ci odpowiadały.

Nie sięgnął po dokumenty. Skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na jej lewą dłoń, na której znowu błyszczał brylant. Rano włożyła pierścionek na palec lewej ręki. Nigdy jeszcze oczy Zacka nie paliły się takim gniewem.

– Nie patrz tak na mnie, proszę. – Odłożyła papiery na stół. – Mógłbyś już wreszcie tym się zająć? To w końcu twoja działka.

– Oczywiście, oczywiście – odburknął nieprzyjemnie. – Jestem tu od samego rana, tyle że nie chciałem ryzykować, że kiedy mnie zobaczysz, zaczniesz krzyczeć i uciekniesz.

– Co? – Brandi nie wiedziała, co powiedzieć.

– Wczoraj jakoś nie miałaś chęci ze mną rozmawiać.

– Tutaj krzyczeć na pewno nie będę.

– Jasne. Jesteśmy w pracy. Obowiązują inne reguły.

Spojrzała na niego niepewnie. Był zirytowany, więcej niż zirytowany. W jego głosie pojawiła się gorycz i to doprowadzało ją do furii. Czyżby naprawdę myślał, że może ją wiecznie oszukiwać? Uświadomiła sobie nagle, że biuro obsługi klientów opustoszało i że pozostały w nim tylko urzędniczki. Żeby nie narażać się na podsłuchiwanie, powinni tę rozmowę przeprowadzić w cztery oczy za zamkniętymi drzwiami jej gabinetu. Nim zdążyła to zasugerować, spytał:

– Dlaczego uciekłaś z balu?

Nie mogła temu zaprzeczyć. To prawda, że uciekła, ale nie zamierzała

pozwolić, by się z niej natrzęsał.

– Nie muszę się przed tobą tłumaczyć, Zack.

– A to co znowu za ton! Oczywiście, że musisz. Wiesz, jak się czułem, kiedy się zorientowałem, że zwiąłeś?

– Zapewne paskudnie. A może miałeś poczucie winy?

W oczach Zacka mignął cień.

– Mówiłem ci, że musimy porozmawiać – powiedział z jakimś zalem – ale znikłaś. Bałaś się usłyszeć to, co miałem ci powiedzieć? Dlatego uciekłaś?

– A może po prostu nie byłam w stanie wysłuchać kolejnej porcji kłamstw. Nie pomyślałaś o tym?

– Kłamstw? Co ty wygadujesz? Do diabła, Brandi...

– Och, przestań. Udawanie niewiniątka może by ci się udało, gdybym wczorajszej nocy nie usłyszała rozmowy Rossa z Whitney. Przyznał, że celowo umieścił cię w moim sklepie.

– Że co?!

– Zapytała go, dlaczego ulokował cię w Oak Park, i Ross odpowiedział, że nie może jej tego wyjaśnić. Parę dni temu zadałam ci to samo pytanie i... popraw mnie, jeśli się mylę... zaprzeczyłeś.

Pokiwał głową.

– Zapytałaś, czy jestem wtyczką Rossa. Odpowiedziałem, że nie. To absolutna prawda.

– Wybacz, być może nieładnie się wyraziłam, ale...

– Nie pracuję dla Rossa!

– A on nie prosił mnie, żebym cię u siebie zatrudniła. Wszystko to tylko mi się przyśniło.

– Zrozum. Ross jedynie zaproponował mi sklep. Pomyśl, żeby zostać Świętym Mikołajem, jest mój.

– To może należało mi wyjaśnić, o co w tym wszystkim chodzi! – Podniosła głos, lecz uświadomiła to sobie dopiero wtedy, gdy zauważyła zaintrygowane miny urzędniczek.

– Chciałem to zrobić wczoraj, ale nie miał mnie kto wysłuchać.

Brandi straciła impet. Być może rzeczywiście nosił się z takim zamiarem.

– Niech ci będzie. Za to teraz nadstawiam uszu.

Zerknął przez ramię na urzędniczki.

– Nie tylko ty – powiedział oschłym tonem. – Powinniśmy chyba przenieść się do twojego gabinetu.

Byli już przy biurku Dory, kiedy na piętrze przystanęła winda. Wybiegł z niej kierownik działu zabawkarskiego.

– Pani dyrektor! – zawołał. – Wszędzie pani szukam.

Brandi stanęła jak wryta.

– Co jest?

– Nie teraz! – wycedził Zack. – Czy nie możesz chociaż raz wypiąć się na ten cały sklep?

– Gdy mam u siebie szpicla? Fantastyczna propozycja.

– O, jest i Zack. – Kierownik działu odetchnął z ulgą. – Człowieku, jak się cieszę, że cię widzę. – Ucisnął jego dłoń obiema rękami.

– Jeśli brakuje panu ludzi do pracy, to bardzo mi przykro – zaczął Zack. – Niestety...

Kierownik pokręcił głową.

– Nie o to chodzi. Pochorował się Święty Mikołaj. Przyszedł normalnie do pracy, ale kompletnie go połamało. Siedzi teraz w szatni. W życiu nie widziałem, żeby kogoś tak w pięć minut zważyło z nóg.

– Grypa? – zapytała Brandi.

– Na to wygląda. W każdym razie nie nadaje się do pracy, a przed ogródkiem ustawiła się kolejka jak stąd do Księżyca. Zack, czy nie mógłbyś mi pomóc? Muszę mieć Świętego Mikołaja!

Zack nie odpowiedział. Patrzył na Brandi, jakby czekał na jej decyzję. Decyzja jednak mogła być tylko jedna.

– Muszę cię prosić, żebyś wziął to zastępstwo – powiedziała bez wyrazu. – Porozmawiamy później.

– Zapewne, pani dyrektor. – W jego głosie zabrzmiała stalowa nuta.

Brandi podniosła głowę wyżej.

– Na rozwikłaniu tej zagadki zależy mi nie mniej niż tobie. A poza tym... nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Masz całe popołudnie na uporządkowanie swoich wyjaśnień.

Aż do końca dnia bardzo się starała być widoczna w sklepie. Nie chciała dać Zackowi powodu do oskarżeń, że ukrywa się w biurze, a poza tym, chociażby nawet zależał od tego jej los, nie usiedziałyby przy biurku. Myślała jak szalona o czekających wyjaśnieniach, usiłując przewidzieć ich

treść, lecz nic sensownego nie przychodziło jej do głowy. Udręczona do ostateczności nakazała sobie spokój. Należało najpierw wysłuchać wersji Zacka, a dopiero potem wyrobić sobie własne zdanie na ten temat.

W windzie panował taki tłok, że biały goździk w klapie jej zakietu pogniółł się. Weszła więc do pokoju pracowników, żeby go wymienić. Otworzyła lodówkę, gdy do pokoju zajrzały dwie ekspedientki. Przyszły, żeby wrzucić do słoika karteczki ze swymi nazwiskami. Widząc Brandi, zapytały, czy w tym roku weźmie udział w gwiazdkowej wymianie prezentów. Pokręciła przecząco głową, ale kiedy wyszły, przypięła sobie nowy goździk, myśląc, że może nie powinna odmawiać. Matka trójki dzieci, która zgłosiła się po pomoc, powiedziała, że najwspanialszym prezentem jest świadomość, że ktoś o nas pamięta. Mimo wszystko były to przecież święta – czas pamięci i troski o innych. Nagle podjęła decyzję. Wypisała szybko swoje nazwisko na jednej z karteczek, które Casey Amos położyła przy słoiku, i wrzuciła do środka.

Tego popołudnia przechodziła przez dział zabawkarski kilkakrotnie, obserwując kolejkę przesuwającą się obok stanowiska Świętego Mikołaja. Trafiła też na moment szczególny. Jakaś para przywiozła czworaczki. Na pierwsze w życiu spotkanie ze Świętym Mikołajem ubrano je identycznie w czerwone, aksamitne pajacyki.

– Piękny widok – powiedział ktoś ze śmiechem. – Jeszcze nie widziałem Świętego Mikołaja z czwórką niemowlaków.

Brandi oparła się o płotek. Dzieci, jak dowiedziała się od matki, miały trzy miesiące. Kręciły się na rękach Zacka, robiły miny, usiłowały chwycić brodę. Patrzył na nie z chwytającą za serce czułością. Nagle podniósł wzrok i kiedy spotkały się ich spojrzenia, wyraz serdeczności w jego oczach ustąpił wyzwaniu. Odruchowo cofnęła się i w panice niemal zaplątała się we własne nogi.

Ubiegłej nocy mogło się wydawać, że ma wobec niej poważne zamiary. Po cóż by jej zdejmował pierścionek z palca lewej ręki, jeśli nie po to, by zrobić miejsce na taki, który by naprawdę coś znaczył? Ale dzisiaj... Dzisiaj patrzył na nią niemal ze wzdrganiem.

Do zamknięcia sklepu pozostało już niewiele czasu i tłum rzedniał. Brandi podeszła do znajdującego się przy głównym wyjściu stoiska z perfumami i przyjrzała się ekspedientce. Nie wyglądała najlepiej i być może nie należało się zgodzić na jej tak szybki powrót do pracy. Dziewczyna



jednak powitała ją z uśmiechem, po czym zwróciła się do klientki – jasnowłosej, młodej kobiety w spłowiałych dżinsach i w płóciennej kamizelce z ogromną ilością wyładowanych czymś kieszeni.

– Mały flakonik Sensually Meghan proszę – powiedziała, wyciągając kartę kredytową z tylnej kieszeni spodni.

Brandi ściągnęła brwi. Kobieta nie wyglądała na osobę używającą perfum po trzysta dolarów za uncję. Był to jeszcze jeden dowód na to, że możliwości klientów nie wolno oceniać po wyglądzie. .

– Jak szybko po zamknięciu sklepów w pasażu robi się pusto? – zapytała kobieta.

– W niedziele prawie natychmiast – odpowiedziała Brandi, tknięta jakimś złym przeczuciem. – A czemu to panią interesuje?

Klientka uśmiechnęła się.

– Dziwne pytanie, wiem. Ale my... – wskazała na dwóch mężczyzn z kamerami wideo, stojących w głównym wejściu – jesteśmy z agencji reklamowej. Będziemy robić reklamę pasażu.

Brandi odetchnęła z ulgą, ganiąc się w duchu za uleganie hysterii. Przed złodziejskim napadem nigdy się jej to nie zdarzało.

– Nie chcielibyśmy tarasować przejścia sprzętem – wyjaśniła kobieta – ale, szczerze mówiąc, nie marzy się też nam praca po nocy. Gdybyśmy mogli już zacząć, nakręcilibyśmy szybko parę ujęć i zaraz by tu nas nie było.

– Ustawcie się na razie gdzieś z boku głównego wejścia – doradziła Brandi. – Nikt wam nie będzie przeszkadzał. Za chwilę zamykamy.

– Dziękuję. – Jasnowłosa klientka wrzuciła flakonik kosztownych perfum do kieszeni i ruszyła do wyjścia.

Kasjerka odprowadziła ją wzrokiem.

– Kto by to przypuścił – powiedziała, kręcąc głową.

Chwilę później zachrypiał głośnik. Ogłaszano zamknięcie sklepu. Ekspedientka ze stoiska z perfumami zaczęła opróżniać kasę. Brandi wydobyła klucze i poszła zamknąć opuszczane metalowe kraty, oddzielające sklep od pasażu. Wypuszczając ostatnich klientów, zauważyła ekipę filmowców ustawiających kamery i światła przed samym wyjściem. Przez cały czas myślała jednak nie o nich, a o zbliżającej się konfrontacji z Zackiem. Chyba ściągnęła go swymi myślami, bo pojawił się dosłownie w parę minut po ogłoszeniu zamknięcia sklepu. Zbiegał po nieruchomych już schodach. Był w stroju Świętego Mikołaja.

– Poczekałabym, aż się przebierzesz – powiedziała, gdy do niej podszedł.

– To zawsze zdążę. Zauważyłem, że zbiegasz na dół, jakbyś miała zamiar uciec, pomyślałem więc, że może...

Przerwał mu przeszywający powietrze krzyk. Brandi rozejrzała się przerażona. Była pewna tylko jednego: dźwięk nie pochodził z budynku. Odbijał się echem w olbrzymim opustoszałym pasażu i jego źródło mogło być w setkach miejsc.

– Co się, do cholery, dzieje? – powiedział ktoś z ekipy filmowej stojący tuż za kratą.

Rozległ się kolejny krzyk, po czym w drzwiach barku sąsiadującego z Tyler-Royale pojawił się jakiś człowiek z szarą papierową torbą. Rozejrzał się i jak szalony pobiegł przed siebie.

– To on – szepnęła ekspedientka ze stoiska z perfumami. – Ten sam, który próbował mnie obrabować.

Zack zerknął na nią, odepchnął na bok Brandi i wybiegł. Brandi uderzyła plecami o metalowe pręty i przytrzymała się kraty, żeby nie upaść. Po chwili uświadomiła sobie, iż bezwiednie powtarza jego imię. Obserwując pościg, miała wrażenie, jakby oglądała film w zwolnionym tempie. W końcu Zack dogonił człowieka z torbą, uderzył go barkiem w plecy i nagle obaj się przewrócili. Kiedy w zwarciu potoczyli się po chodniku, Brandi zauważyła błysk metalu w ręce złodzieja. Nóż? Broń? Krzyknęła przerażona z lęku o życie Zacka i nagle uświadomiła sobie coś najistotniejszego. Z absolutną jasnością, która czasami zdarza się w szoku, zrozumiała, że nie obchodzi ją to, co Zack zrobił, kim jest ani nawet dlaczego znalazł się w jej sklepie i czy ją okłamywał. Wszystko to było nieważne i znaczyło mniej niż nic. Ubiegłej nocy zaboląło ją odkrycie, że pozwoliła sobie mu zaufać, nie wiedząc, kim naprawdę jest. Teraz jednak z oślepiającą pewnością czuła, że był to nie tylko mężczyzna, który ją fascynował i którego pragnęła lepiej poznać, ale jedyny człowiek na ziemi, którego bezgranicznie kochała.

## Rozdział 9

Bójka w pasażu trwała nie dłużej niż minutę czy dwie, lecz do czasu pojawienia się agentów ochrony dla Brandi minął wiek. Gdzie oni są? Po co się tych ludzi w ogóle zatrudnia, skoro nie ma ich tam, gdzie są akurat potrzebni? Wreszcie do szepionych ze sobą mężczyzn podbiegło trzech ochroniarzy. Dwaj odciągnęli złodzieja i usiedli na nim, trzeci pomógł Zackowi wstać. Od razu otrzepał się z kurzu, wszystko wskazywało więc na to, że nic mu nie jest, Brandi jednak dygotała jeszcze parę minut później, gdy ekipa filmowców triumfalnie przeszła korytarzem. Nawet nie zauważyła, że odchodzą, i nie zwróciła większej uwagi na kasetę wideo, którą młoda jasnowłosa kobieta w płóciennej kamizelce wymachiwała nad głową.

– Ale materiał! Będziemy w „Wiadomościach” na wszystkich kanałach telewizji Chicago. Święty Mikołaj w zwycięskim starciu ze złodziejem! Fantastyczne! – Uśmiechnęła się szeroko do Brandi. – Co mi pani może powiedzieć o tym Świętym Mikołaju? To, że jest seksowny i w świetnej formie, pomińmy.

– Niewiele. – Brandi miała wrażenie, że zaraz rozpadnie się na kawałki. – Nazywa się Zack Forrest. Zatrudniłszy go tylko na sezon. Naprawdę, chyba nic więcej...

– Zack Forrest?

W tonie dziennikarki było coś budzącego czujność. Brandi spojrzała na nią podejrzliwie.

– Tak. Powiedziałam chyba wyraźnie.

– Mówimy o Pluszaku?

– O kim?

– O Pluszaku. Dostał taki przydomek na Wall Street, kiedy wiosną kupił Intellitoys, tę, na pewno pani wie, wytwórnię zabawek edukacyjnych.

Brandi głośno wypuściła powietrze z płuc. „Jak tam twoje zabawki?” – przypomniała sobie pytanie, które na bankiecie u Claytonów zadał jakiś jego znajomy. Myślała wtedy, że chodzi o pracę Świętego Mikołaja... Coś podobnego! Zack miałby być właścicielem wytwórni?

– W zeszłym tygodniu robiliśmy reklamę jednego z ich nowych produktów i zebrałam trochę informacji. Ciekawe, po co bawi się tutaj w

Świętego Mikołaja?

Kątem oka Brandi uchwyciła mignięcie czerwonego stroju i odwróciła się. Zack miał zmierzwione włosy, sztuczna broda przekrzywiła się. Zgubił gdzieś czapkę i miał jeszcze trochę nierówny oddech.

– Robię to dla dzieci – powiedział, uśmiechając się do kobiety z agencji reklamowej. – I dla fantazji... Może to nieładnie, ale zapytam wprost: czy jestem bohaterem kasety wideo, którą pani tak się cieszy?

Młoda kobieta zaśmiała się.

– Owszem. Będzie się pan mógł obejrzeć jeszcze dziś w wieczornym serwisie. Założę się, że ten materiał zainteresuje wszystkie stacje lokalne, a może i CNN.

– To trochę bezczelne, nie uważa pani?

– A co w tym złego? W moim kontrakcie z agencją reklamową nie ma zakazu dorabiania sobie na boku.

– Oczywiście, oczywiście – załagodził Zack. – W oświeconym kapitalizmie wolno wiele. Ale... Skoro ta kasetka jest na sprzedaż... – Sięgnął po portfel. – Jak pani sądzi, ile by pani zapłacono?

Dziennikarka wymieniła jakąś sumę, a kiedy odliczył pieniądze i wręczył jej plik banknotów, spojrzała na niego zaskoczona.

– Proszę, to równowartość, a nawet nieco więcej. W ten sposób nie musi się pani trudzić sporządzaniem kopii dla wszystkich zainteresowanych. Czysty zysk.

Kasetka zniknęła w przepastnej kieszeni stroju Świętego Mikołaja. Zack rozejrzał się z uśmiechem.

– Chyba będzie pani musiała przełożyć zaplanowane zdjęcia na kiedy indziej. Wygląda na to, że pasaż będzie zamknięty przez cały wieczór.

Dopiero teraz Brandi zauważyła przybycie policji. Policjanci otoczyli kordonem sklepik, z którego wybiegł złodziej. Filmowcy spakowali sprzęt i wkrótce opuścili pasaż.

– Co chcesz zrobić z tą kasetą? – zapytała, nie patrząc na Zacka.

– Jeszcze nie wiem. Coś takiego zdarza się raz w życiu, więc chyba ją sobie zatrzymam.

– Będiesz miał co pokazywać znajomym. Prawdziwy gwóźdź programu.

– No właśnie. Wezmą mnie za bohatera... zwłaszcza ci, którzy nie wiedzą, że złodziej był wyjątkową ofermą.

Brandi miała już dość wykrętów.

– Jak na kogoś, kto parę dni temu skarżył się, że pewnie nie zdoła sprzedać bez straty nowego samochodu, na którego utrzymanie go nie stać, dałeś tej panience niezły plik dolarów – zadrwiła i nie czekając na wyjaśnienia, twardo popatrzyła mu w oczy. – Dlaczego mi nie powiedziałeś, kim jesteś? Po co ta cała tajemnica?

– No cóż... Wolałem nie nagłasniać faktu, że Intellitoys ma poważne problemy.

Pokręciła głową. Nie chciało się jej wierzyć, że był to jedyny powód.

– Przepraszam... – Policjant, który do nich podszedł, zwrócił się do Zacka. – Chcieliśmy pana prosić o złożenie zeznania.

Zack westchnął ciężko.

– Wrócę najszybciej jak się da – powiedział, patrząc na Brandi.

– Będę u siebie w biurze.

Upłynęła dobra godzina, nim zapukał do drzwi jej gabinetu i od razu wszedł. Zdążył się przebrać – był w dżinsach i czarnej skórzanej kurtce. Chociaż ubrany był tak samo, jak wczesnym popołudniem, gdy zaczęli tę rozmowę, miała wrażenie, że od tamtych chwil oddziela ich bardzo długi dystans. Wtedy wiedziała jedynie to, że może przez niego cierpieć. Teraz miała pewność, że to jest miłość. Na jego widok odłożyła jakiś katalog, który bezmyślnie kartkowała od kwadransa, ale nie powiedziała ani słowa. W całkowitym milczeniu przysunął sobie krzesło, odwrócił je oparciem do przodu i usiadł, jakby zasłaniając się tarczą. Przez długą chwilę wydawało się, że mogliby tak siedzieć całą wieczność, lecz w napiętej ciszy przez cały czas toczył się niemy dialog. Kiedy w końcu Zack się odezwał, oboje mieli wrażenie, że rozmawiają od dawna.

– Zapotrzebowanie na zabawki edukacyjne było ostatnio umiarkowane. Zamówień na sezon świąteczny przyszło nie za dużo, ale nic nie zapowiadało klapy. Tymczasem w październiku zaczęły napływać do wytwórni rezygnacje z uzasadnieniem, iż towar zalega. Pokaz na targach zakończył się kompletną klęską. Jakoś byśmy przeżyli jeden kiepski sezon, ale problem był szerszy – nie potrafiliśmy zrozumieć powodów spadku sprzedaży. A jeśli się tego nie wyjaśni, przyszły rok może być wyłącznie jeszcze gorszy.

Brandi nerwowo bawiła się spinaczem. Trudno było zaprzeczyć logice wyводу Zacka, ale jaki to miało związek z jej osobą?

– Firma marketingowa, z której usług korzystaliśmy, również nie umiała wskazać przyczyn. Usłyszeliśmy, że to zjawisko przejściowe, a sprzedaż z czasem się wyrówna. Z czasem, rozumiesz. Zanim by się przyznali do błędu, równie dobrze mogłoby już być po nas. No więc wywaliłem ich na zbity pysk. Przyznaję, niedługo nad tym myślałem, ale i tak niczego to nie zmieniło.

– Zła informacja to gorzej niż żadna – wtrąciła, żeby coś powiedzieć.

Uśmiechnął się, jakby była szczególnie pojętną uczennicą.

– Dokładnie. Tyle że musieliśmy jakoś dotrzeć do prawdy. Dowiedzieć się, dlaczego i dzieciom, i rodzicom przestały nagle odpowiadać nasze zabawki.

– I po to zostałeś Świętym Mikołajem? – Poruszyła się niespokojnie. – Wybacz, Zack, ale tego nie rozumiem. Mogłeś zwrócić się do innej firmy marketingowej, przeprowadzić badania na wybranych grupach. Czy to tak trudno zaprosić parę razy kilkanaścioro dzieci z rodzicami i popytać, co im się podoba, a co nie? Zakładanie kozucha i sztucznej brody to chyba najgłupsze...

– Czyżby? Wyniki wszelkich badań statystycznych można naciągnąć nawet przy najlepszych intencjach. Postanowiłem więc dotrzeć bezpośrednio do źródła. A gdzie poznasz najautentyczniejsze marzenia i potrzeby dzieci lepiej niż w fotelu Świętego Mikołaja?

– Takie badania nie mają wartości naukowej.

– Zapewne, ale ja nie mam czasu. Nie potrzebuję uczonych analiz. Muszę szybko zrozumieć, gdzie tkwi błąd. No i chyba czegoś już się dowiedziałem.

– Prowadzisz szczegółowe notatki...

– Tak. Nie chciałbym uronić najdrobniejszej nawet uwagi, żeby nie dać się zwieść. Człowiek, jak wiadomo, zapamiętuje najłatwiej to, co chce zapamiętać.

– I myślisz, że znasz już odpowiedź na wszystkie swoje pytania?

– Nie, ale wiem, w jakim kierunku powinniśmy zdążać.

Brandi westchnęła. Sprzeczenie się z Zackiem nie miało sensu – był przekonany, że ma rację. Najważniejsze zresztą, że powód całej tej maskarady był – z jej punktu widzenia – błahy.

– Dlaczego od razu mi nie powiedziałaś, o co chodzi?

Pokręcił głową, jakby dziwił się jej naiwności i nie bardzo w nią wierzył.

– Wyobrażasz sobie, jak by zareagowała giełda? Wzięliby mnie w obroty, tak że tylko pierze by fruwało. Musiałoby się to odbić dość wrednie na moich stosunkach z udziałowcami...

– To oczywiste, ale...

– Co byś sobie pomyślała, gdyby, powiedzmy, prezes największej wytwórni żarówek w tym kraju pojawił się w jakimś małym sklepiku i zaczął zachwalać ich jakość, rozpytując przygodnych ludzi, czemu ostatnimi czasy wolą produkty konkurencji?

Brandi czuła, że się nie rozumieją.

– Nie o to chodzi, Zack – wtrąciła szybko. – Ciągłe mówisz o tym, dlaczego nie chciałeś ujawniać się ze swymi problemami. To przecież jasne i nie trzeba mi tego tłumaczyć. Ale ja pytam o coś innego. Chcę zrozumieć, dlaczego uznałeś, że nie powinnam o niczym wiedzieć. Ja...

Patrzył na czubki swoich butów.

– Chciałem być najzwyczajszym Świętym Mikołajem – powiedział. – Kimś, komu się mówi to, co się naprawdę myśli. Ludzie mają zdumiewającą łatwość dostosowywania swoich odpowiedzi do pragnień rozmówcy. Gdybym w jakiś sposób odbiegał swoim zachowaniem od powszechnych wyobrażeń o Świętym Mikołaju, mogłoby to zniweczyć cel, dla którego postanowiłem nim zostać.

Przecież od samego początku jesteś niewiarygodny, pomyślała z irytacją.

– A jak twoim zdaniem ja mogłabym ci zaszkodzić? Miałam może zwołać konferencję prasową i rozgłosić wszem i wobec, co robi w Oak Park rzekomy Święty Mikołaj?

– Nie znaleźmy się, Brandi. Skąd mogłem wiedzieć, jak zareagujesz?

A później? – chciała zapytać. Kiedy już przestaliśmy być sobie obcy? Nie odważyła się jednak postawić tego pytania, bojąc się usłyszeć odpowiedź, która przecież mogła być dla niej bolesna. Kochała go zbyt mocno, żeby znieść na przykład stwierdzenie, że nie wierzył, iż potrafi dochować tajemnicy.

– Bezpieczniej było nie wprowadzać cię w to wszystko – mówił dalej. – Ross też tak uważał. Poza nami dwoma nikt o niczym nie miał wiedzieć. W ten sposób chcieliśmy uniknąć przecieków.

Brandi poczuła ucisk w gardle.

– Czyli że on też mi nie ufał?

– Nie w tym rzecz, Brandi, naprawdę. Chodzi o to, że Ross jest głównym

akcjonariuszem Intellitoys i gdyby wyszło na jaw, że niepokoi się o firmę...

Nie musiał kończyć zdania. Gdyby wiadomość ta przedostała się na Wall Street, Intellitoys mogłoby pójść sobie na grzybki.

– Gdyby też pozostałe firmy z tej branży, współpracujące z Tyler-Royale, dowiedziały się, że Ross nas faworyzuje, pozwalając mi eksperymentować w swoich sklepach, pewnie musiałbym się związać z całym zaprzęgiem reniferów i zwiewać aż do Laponii.

Brandi wiedziała z doświadczenia, jacy potrafią być dostawcy, jeśli podejrzewają, że ktoś boczną ścieżką próbuje się wepchnąć na ich rynek. Zadrżała.

– Widzę, że rozumiesz – powiedział. – Mogłoby się to spotkać nawet z protestem całego zarządu Tyler-Royale. Być może Ross popełnił błąd, nie wprowadzając cię w tę sprawę, ale...

– Ale? Nie przyszło wam do głowy, że gdybym wiedziała, powstrzymałoby to mnie od mówienia tego, czego nie powinnam?

– To prawda. Przyznasz chyba jednak, że Ross miał powody, żeby prosić mnie o zachowanie tajemnicy?

Niechętnie skinęła głową. Uważała nadal, że obaj nie mieli racji, ale nie trzeba się z kimś zgadzać, żeby go rozumieć. Czowała jedynie, że nie potrafi już lubić Clayтона tak jak dawniej.

– A więc to dlatego nie chciał powiedzieć Whitney, co się dzieje? – spytała.

– Jeśli uznał, że ty masz o niczym nie wiedzieć, to czemu miałby spowiadać się jej?

Było to niby logiczne, lecz Brandi drażniła oczywistość wywołu Zacka.

– Bardzo chciałem ci wszystko wyjawić, kiedy spytałaś mnie, czy jestem wtyczką i czy twój sklep ma kłopoty. Ale nie mogłem, to nie była tylko moja sprawa. Rozumiesz to, prawda? Byłbym nielojalny wobec Rossa. Nie mogłem nic powiedzieć bez uzgodnienia z nim.

Oczywiście. Znaj swoje miejsce, kobieto, pomyślała z goryczą, czując, że robi się jej duszno. Miała nieprzewartą potrzebę wybiegnięcia ze sklepu i odetchnięcia zimnym, świeżym powietrzem.

– Bóg jeden wie – powiedziała cierpko – że rozumiem, co to jest biznes. Prawdę mówiąc, nie wiedziałam, że potrafisz być taki lojalny... przynajmniej w sprawach związanych z twoją własną pracą. No, to wyjaśniliśmy sobie już chyba wszystko? – Wstała i obesza biurko. Było to



chyba najbardziej naturalne rozwiązanie, jakie mogła sobie wyobrazić.

Zack wyciągnął do niej rękę, ale cofnęła się.

– Masz mi jeszcze coś do powiedzenia, Zack?

Zapatrzył się przed siebie niewidzącym wzrokiem, aż wreszcie ponownie utkwiał w niej spojrzenie.

– Nie.

– Czyli że pozostało nam jedynie uzgodnić sposób, w jaki wyjaśnimy twoją nagłą rezygnację ze stanowiska Świętego Mikołaja.

– Miałbym odejść? Dlaczego?

– Żeby uniknąć niewygodnych pytań, oczywiście. Mam mówić, że otrzymałeś interesującą propozycję stałej pracy, czy że zachorował ci ktoś z rodziny i musisz wyjechać? A może wolałbyś, żebym zasugerowała, że wyjechałeś ze stanu albo nawet... jeśli ci wygodniej... w ogóle z kraju?

– Nie chcę się zwalniać.

– Ale musisz, inaczej się nie da.

– Czemu? Nie zakończyłem jeszcze swoich badań. Ross zgodził się ze mną, że musisz znać prawdę, ale nie ma potrzeby wprowadzać w to jeszcze kogoś.

– A czy nie byłoby lepiej, gdybyś dokończył swoje badania gdzie indziej?

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę i odniosła wrażenie, że nigdy jeszcze jego oczy nie były tak ciemne.

– Chcesz, żebym się wyniósł, prawda, Brandi? A możesz mi powiedzieć, dlaczego? Czy dlatego, że moja osoba stanowi dla ciebie jakieś zagrożenie? Odbieram ci spokój ducha?

– Ty? Żartujesz chyba. – Słowa te nawet w jej własnych uszach zabrzmiały nieprzekonująco. – Skoro nalegasz, zostań. Nie mam zamiaru niszczyć sobie kariery, przeciwstawiając się woli Rossa.

Zack najwyraźniej nie słuchał.

– Nie dowiedziałem się jeszcze, dlaczego wczorajszej nocy nie chciałaś ze mną rozmawiać.

– Wtedy czy teraz... co za różnica. Przecież powiedziałbyś mi to samo.

– Niezupełnie.

Jasne, pomyślała szybko. Wczorajszego wieczoru nikt go jeszcze nie zdemaskował i mógł sobie pozwolić na okrojona wersję. Nic jej już nie dziwiło.

– Wybacz, Zack – powiedziała, siadając za biurkiem i biorąc do ręki ten sam katalog, który kartkowała, kiedy wszedł. – Chciałabym jeszcze popracować.

Podniósł się i postawił krzesło przodem do niej.

– No, to do jutra – mruknął.

Chyba, żebyśmy zobaczyli się wcześniej, pomyślała.

Widząc zaaferowaną Dorę w drzwiach swego gabinetu we wtorkowy rano, Brandi domyśliła się od razu, że będą kłopoty.

– Pani dyrektor – powiedziała sekretarka, podając komputerowy wydruk – nie wiem, co z tym zrobić. Jeden z naszych nowych pracowników wyczerpał niemal do końca swoje konto.

– Ciekawe, kto? Pewnie to ta praktykantka, którą dałam do pomocy Zackowi w akcji dla potrzebujących...

– Nie. To on sam.

Świetna metoda, żeby pozostać szarym, przeciętnym i niezauważalnym pracownikiem, pomyślała z ironią Brandi, przebiegając wzrokiem wykaz pobranych sum. Większość z nich była mała, ale pozycji było mnóstwo. Nic dziwnego, że zwróciło to uwagę Dory. Westchnęła głośno.

– Porozmawiam z nim, a póki co, nie ma się czym przejmować.

Z miną świadczącą o wątpliwościach sekretarka wyszła, a Brandi zajęła się znowu pracą. Wydruk leżący na biurku nie dawał jej jednak spokoju. Miała wrażenie, że jest czymś żywym, co ma oczy, i w końcu nie mogła już tego znieść. Od niedzieli udawało się jej jakoś uniknąć spotkania z Zackiem, ale teraz musiała go odszukać. Była pora kolacji, powinien więc siedzieć na stanowisku, zastępując w przerwie Świętego Mikołaja, który się posilał. Zabrała wydruk i zjechała schodami na drugie piętro.

Było tam prawie pusto. Jedyne w ogródku Świętego Mikołaja zauważyła mężczyznę w trenczu i dwoje małych dzieci. Dzieciaki wspinały się na kolana Zacka, który tymczasem rozmawiał z ich ojcem. Nie patrząc w ich stronę, ustawiła tablicę z napisem: „Święty Mikołaj wyszedł nakarmić swego renifera” i zamknęła furtkę. Dopiero wtedy mężczyzna w trenczu odwrócił się i nagle uświadomiła sobie, że jest to Ross Clayton.

– Cześć, Brandi – powiedział wesoło. – Pora nakarmić Zacka?

– Chciałam mu tylko coś powiedzieć.

Uśmiechnął się.

– Zabieram więc już swoje aniołki. Zadzwoń do ciebie w tym tygodniu. Zebrało się parę spraw...

Kiwnęła głową. Na pewno wiedział już od Zacka, jak się uniosła. Zresztą, wszystko jedno. Zamierzała i tak powiedzieć mu parę cierpkich słów na temat całej tej afery, im szybciej więc miało to nastąpić, tym lepiej.

Zack zdjął z kolan dziewczynkę i wstał.

– Znam cię – powiedziała rezolutnie mała, podchodząc do Brandi. – Byłaś na balu.

– Masz dobrą pamięć, Kathleen.

– Wujek Zack powiedział, że może się jeszcze zobaczymy i pojedziemy do ciebie ubierać choinkę. Ale potem powiedział, że chyba nie. Dlaczego?

Brandi popatrzyła szybko na Zacka, lecz nim zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, odezwał się chłopiec.

– Bo już jest na to za późno, smarkulo – oświadczył z wyższością, jaką dawała mu pozycja starszego brata. – Wszyscy dawno już ubrali choinki.

– Nie mów tak do siostry – zganił go ojciec.

– Smarkula...

Ross zerknął na Brandi.

– Widzisz, ile tracisz, nie mając dzieci?

Żartował, oczywiście, ale odprowadzając ich wzrokiem, w nagłym poczuciu osamotnienia Brandi zrozumiała, że pozbawiła się czegoś, czemu nie zdążyła się nawet przyjrzeć, lecz było za późno, by zmienić decyzję.

„Wujek Zack powiedział, że może się jeszcze zobaczymy i pojedziemy do ciebie ubierać choinkę...” Zamknęła oczy i w ułamku sekundy zobaczyła kolejną rozstawioną pod kolorową choinką, dwoje dzieci, śledzących roziskrzonymi oczyma pędzący po torach pociąg... i Zacka. Uspokój się, pomyślała. To bez sensu.

– Wydawało mi się, że Ross nie chciał, żeby dzieci widziały cię w przebraniu?

– Podслуchały jakąś rozmowę na temat mojej nowej pracy, więc uznał, że lepiej będzie, jak mnie zobaczą, niż żeby miały wyobrażać sobie nie wiadomo co.

– Przyjęły to chyba doskonale.

– Pewnie dlatego, że od wielu miesięcy wypróbuję na nich swoje zabawki, więc rola Świętego Mikołaja wydaje się im w moim przypadku czymś naturalnym.

– Rozumiem. – Włożyła ręce do kieszeni i dopiero, czując pod palcami złożony arkusik wydruku, przypomniała sobie powód, dla którego się tutaj znalazła. – Jestem zmuszona ci uświadomić, że prawie wyczerpałeś swoje tutejsze konto. Jeśli chcesz jeszcze z niego korzystać, to niestety – uśmiechnęła się ironicznie – będziesz musiał przedstawić zaświadczenie o zarobkach z innych źródeł.

– Nic się nie stało – odpowiedział, jakby nie zauważając jej sarkastycznego tonu. – Pomyślałem, że nie powinienem\* traktować swego eksperymentu zarobkowo, kupiłem więc parę rzeczy dla osób zgłaszających potrzeby. Popłacę potem z pensji rachunki i będziemy kwita.

Z głośnika rozległ się głos Dory, która wzywała ją do biura. Najwyższy czas, pomyślała, lepiej nie mogła trafić.

– No to dobrze – powiedziała szybko. – Do zobaczenia.

W ciągu całej rozmowy ani razu nie spojrzała mu w oczy. Byłoby to nie tylko zbyt bolesne, ale również zbyt kłopotliwe. Kiedy jednak odwróciła się, zamierzając odejść, wypowiedział jej imię z taką tęsknotą, że zapomniała o danym sobie przyrzeczeniu.

– Tęsknię za tobą – szepnął z ogniem w oczach.

Wiedziała, że chciałby ją teraz pieścić i całą sobą zapragnęła znaleźć się w jego ramionach i zapomnieć o całym świecie.

– Myślałem, że coś nas łączy...

Brandi poczuła ucisk w gardle.

– To niemożliwe bez odrobiny zaufania.

– Źle zrobiłem, że nic ci nie powiedziałem.

– Bardzo źle.

– Przepraszam.

Odbierała go każdym nerwem. Czy naprawdę mówił to, co sobie wymarzyła? Czy to możliwe, że w ciągu tych dwóch dni niewidzenia uświadomił sobie to, co ona zrozumiała wcześniej? „Myślałem, że coś nas łączy”, powiedział. Czy to możliwe, że nie wszystko było jeszcze stracone? Z największym wysiłkiem broniła się przed nieprzepartą pokusą, by po prostu rzucić mu się w ramiona.

– Święty Mikołaj! Jest! Jeszcze nie poszedł! – zawołało jakieś dziecko przy furtce. W jednej chwili Brandi otrzeźwiała.

– Później – powiedział Zack.

Kiwnęła głową i pobiegła na górę. Dora ucieszyła się na jej widok.

– Już się przestraszyłam, że nie usłyszała pani wezwania. Dzwoni pani Townsend. Powiedziała, że będzie czekać aż do skutku, ale...

Nie słuchając dalej, Brandi wpadła do gabinetu i chwyciła słuchawkę.

– Whitney? Przepraszam, że czekasz tak długo.

– Nie przejmuj się. Czekałabym nawet wieczność.

W napiętym, niemal ostrym tonie jej głosu było coś przerażającego.

– Co się stało?

– Odkryłam, do czego zmierza Zack.

Brandi odprężyła się. Zakręciła krzesłem, oparła nogi na biurku i przez sekundę zastanawiała się, co może powiedzieć przyjaciółce. Że Intellitoys ma problemy – tego oczywiście nie. Ciekawe zresztą, ile Whitney już wie. Jak to dobrze, że Zack powiedział mi całą prawdę, pomyślała. Gdyby tego nie zrobił, mogłabym chlapać coś bez sensu i popsuć mu plany, a może nawet zniszczyć firmę.

– Przeprowadza u nas swoje badania rynku – powiedziała swobodnie. – Żeby wiedzieć, co dzieci chcą dostać pod choinkę.

– Och, to oczywiste. – W głosie Whitney zabrzmiało zniecierpliwienie. – Jeszcze zanim kupił Intellitoys, pytał wszystkie dzieciaki, jakie tylko spotkał, co myślą o zabawkach tej firmy. Nic dziwnego, że postanowił zostać Świętym Mikołajem. Ale to nie koniec.

Brandi poczuła, że kurczy się ze strachu.

– Podczas ostatniego weekendu zapytałam Rossa, dlaczego wsadził Zacka do twojego sklepu, i nie chciał mi nic wyjaśnić.

– Wiem. – Nie zamierzała się do tego przyznać, ale nie potrafiła ugryźć się w język.

– Co? No dobrze, wszystko jedno. Nic mi nie powiedział. Trzymał buźkę na kłódkę, ponieważ wie, że od razu zrobiłabym to, co robię teraz... że zadzwonię, żeby cię ostrzec. Ale skoro podjął już decyzję...

– Jaką decyzję? Przed czym ty mnie chcesz ostrzec?

– Brandi spociły się ręce. Prawie nie mogła mówić. A więc było coś nie tak. Jaka znowu klęska miała się zwać na jej głowę?

– Ross chce ci zaproponować stanowisko „spadochroniarza”.

Przez moment Brandi wydawało się, że się przesłyszała. Nic zatem jej nie zagrażało! Czekala ją nie klęska, ale awans przerastający najśmielsze marzenia.

– W życiu bym się czegoś takiego nie spodziewała – stwierdziła cicho.

– Przemyśl wszystko dobrze, nim się zgodzisz – powiedziała bez emocji Whitney. – Nie taki to znowu smaczny kąsek. Nie ma w tej pracy nic szczególnie atrakcyjnego, oczywiście poza faktem, że z takiego stanowiska łąduje się już później tylko bardzo wysoko.

Brandi lekko pokręciła głową.

– I przed tym chcesz mnie ostrzec? Przed pewnymi mankamentami tej pracy?

Whitney westchnęła.

– Nie tylko. W ogóle nie będzie ci łatwo. Ross wie, że jesteś dobrym kierownikiem sklepu, ale taki awans oznacza podniesienie poprzeczki. Prawdę powiedziawszy, nie był wcale pewien, czy jesteś już do czegoś takiego gotowa. Podesłał więc Zacka, żeby ci się dokładnie przyjrzał. Uważaj na niego, Brandi. Jest w Oak Park po to, żeby cię szpiegować.

## Rozdział 10

Brandi przeszył mróz. Kiedy pod koniec trudnej rozmowy zapytała Zacka, czy ma jej jeszcze coś do powiedzenia, zmieszał się wyraźnie, ale odpowiedział, że nie. Dopiero teraz wszystko stało się jasne. Nie mógł jej przecież wyjawiać, że znalazł się w Oak Park przede wszystkim po to, żeby ją obserwować.

– Bardzo mi przykro, że musiałam ci to powiedzieć – odezwała się Whitney. – Prawda jest brutalna, ale może lepiej, żebyś ją знаła. Z tego, co widzę, Zack nieźle zawrócił ci w głowie.

– Nie opowiadaj głupstw – powiedziała, nie panując nad głosem.

– Słuchaj, dzieciaku, nie próbuj mnie czarować. Znam cię dobrze. Żałuję, że nie połąpałam się w tym wcześniej.

– Obie się nie połąpałyśmy – przyznała niechętnie Brandi i przerażona perspektywą usłyszenia jeszcze jakichś nowych rewelacji szybko zmieniła temat. – Czegoś w tym wszystkim jednak nie rozumiem. Jakim cudem miałabym zostać „spadochroniarzem” Rossa? W Tyler-Royale wszyscy mnie znają.

– Z nazwiska, owszem, ale nie z widzenia. Na twoją korzyść przemawia w tym względzie to, że prawie nie bywałeś na imprezach. A poza tym, „spadochroniarz” nie pozostaje długo anonimowy. Kwadrans po zaproponowaniu komuś tego stanowiska, rozchodzą się plotki. Myślisz, że mojej roli nie znano? Zapewniam cię, że wszyscy.

– Sądziłam zawsze...

– Pracy autentycznie tajnej jest zresztą wcale nie tak wiele. Większość spraw załatwia się jak najbardziej jawnie. To niełatwe zajęcie... wynosi w górę, ale i spada, i szybko traci swój blask. Byłam „spadochroniarzem” przez prawie trzy lata i myślę, że zdecydowało to o całym moim życiu. Ale jeśli to jest coś, czego chcesz...

Brandi wyczuła w głosie Whitney ostrzeżenie. Gdyby jednak zaproponowano jej tę pracę, odpowiedź mogła być tylko jedna. To był awans, na który pracowała i o którym marzyła, wyższy szczebel wyśniewionej kariery. Za nic by z niego nie zrezygnowała.

– Zawsze chciałam – powiedziała cicho.

– No to życzę ci wszystkiego najlepszego, moja droga. Ale przynajmniej

przemysł to wszystko, zanim podpiszesz cyrograf.

Brandi podziękowała i odłożyła słuchawkę. Wieloletnia harówka przyniosła wreszcie upragniony awans, dalej zaś były już tylko stanowiska w zarządzie firmy. Pewnego dnia mogła nawet zająć gabinet, który obecnie należał do Rossa Claytona, objąć stanowisko dyrektora Tyler-Royale. Powinna skakać z radości, gdy tymczasem trzęsła się z wściekłości, zawodu i smutku.

Nim zebrała się i opuściła biuro, Dora wyszła już do domu. We wnętrzu paliło się światło, ale komputer był nakryty, a biurko schludnie uporządkowane. Na drugim piętrze Święty Mikołaj w okularach wrócił właśnie z kolacji i zajął miejsce w zielonym fotelu. Zauważyła, że jest bardzo blady. Pewnie jeszcze nie wydobrzył po grypie, pomyślała, zastanawiając się, czy by go nie odesłać do domu. Powitał ją uśmiechem.

– Jeśli szuka pani tego pani kawalera – zachichotał dobrodusznie – to właśnie się przebiera.

Brandi odczuła jeszcze większą irytację. Słowa starego człowieka podsyciły w niej gniew. Czy wszyscy w tym sklepie myślą, że jest beznadziejnie zakochana w Zacku Forreście? A może on też tak myśli? Może celowo podsyciła plotki? Może to tylko sprawdzian wytrzymałości psychicznej, koniecznej na wysokim stanowisku?

Wydrzeć z serca miłości nie umiała, lecz z całą pewnością należało położyć kres farsie, uzmysłwić jasno wszystkim, że ona i Zack nie są i nigdy nie będą parą. Obeszła ogródek Świętego Mikołaja i bez pukania otworzyła szatnię.

Zack stał tyłem do drzwi. Właśnie wkładał koszulę do spodni. Odwrócił głowę i uśmiechnął się szeroko.

– A, to ty. Czy mi się tylko wydaje, czy też spieszysz do domu?

– Muszę z tobą porozmawiać.

Zdziwiony tonem jej głosu, unióś lekko brwi.

– Daj mi chociaż włożyć buty – powiedział. – Chętnie bym cię zaprosił do środka, ale we dwoje raczej się tu nie pomieścimy.

Miał rację. Chatka Świętego Mikołaja była arcydziełem iluzji. Wnętrze było dużo mniejsze, niż mogłoby się wydawać. Umywalka i toaleta zajmowały prawie całą przestrzeń. Człowiek wzrostu Zacka niemal dotykał sufitu głową. W przyszłym sezonie naprawdę powinno się powiększyć tę



dziuplę, pomyślała. Tyle że to już nie będzie mój ból.

– Coś się stało? – zapytał.

Mówił tak, jakby naprawdę nie wiedział, o co chodzi, i Brandi aż się zatrzęsała.

– Wiesz co, Zack – powiedziała, starając się o swobodny ton. – Sama już nie wiem, czy mam ci dziękować za ten awans, czy też wyrzucić cię na zbity pysk za wszystkie kłamstwa.

Zmrużył oczy, ale nie zareagował ani słowem.

– W obecnej sytuacji muszę być rozważna, nieprawdaż? Rozumiem więc, że oczekujesz podziękowań za rekomendację, której bezspornie mi udzieliłeś.

– Nie mam nic wspólnego z twoim awansem, Brandi.

– Jak to: nie masz? Wcale?

– Wcale. To była decyzja Rossa. Nie wystawiałem ci żadnych opinii.

– Uważaj, bo ci uwierzę. Przez cały czas kłamiesz jak z nut, a jeśli nawet mówisz prawdę, to i tak służy to kłamstwu. Jesteś mistrzem półprawd. Jak śmiałeś twierdzić, że nie masz mi już nic do powiedzenia?

– Brandi...

Uświadomiła sobie nagle, że postępuje niemądrze, że rozsądniej by było nie ujawniać przed nim tych wszystkich uczuć. Jednakże uraza, uczucie zawodu i złość kłębiły się w niej z taką siłą, że nie potrafiła się opanować i w końcu musiała dać im upust.

– Wyznajesz zapewne zasadę, że cel uświęca środki. No, nie wiem... Bardzo się cieszę z awansu, ale muszę ci powiedzieć, że nieładnie się zachowałeś. Nie mogę ci oczywiście zakazać wstępu do mojego sklepu, oświadczam jednak, że od tej chwili nasz kontakt ogranicza się do spraw czysto służbowych. Dzięki Bogu do świąt pozostało tylko dziesięć dni, będziesz więc mógł już niedługo zdjąć ten cudaczny strój i wrócić do swoich zabawek. Czy wyraziłam się jasno?

– O tak. – Zack był wyraźnie zdenerwowany. – A biorąc pod uwagę okoliczności, nie wyobrażam już sobie żadnej rozmowy z tobą. Wystarczy ci rezygnacja odręcznym pismem, czy mam pójść do działu elektronicznego i wystukać ją na maszynie?

– Nie musisz się wysilać, chyba że chcesz ją zanieść Rossowi. Ze mną nigdy się nie liczyłeś, więc nie udawaj!

Odwróciła się na pięcie i szybkim krokiem przeszła przez dział

zabawkarski. Nareszcie mam to z głowy, koniec, pomyślała, zamknawszy się w swoim gabinecie. Dostałam awans, coś wspaniałego. Jest się z czego cieszyć. Ale dlaczego moja głowa nie chce przestać tak bardzo boleć?

Tydzień mijał, a Ross milczał. Nawet nie zadzwonił. Brandi zaczęła już nawet rozważać możliwość, że zaszło jakieś nieporozumienie i Whitney miała złe informacje. Gdyby jednak tak było, to Zack zachowałby się inaczej. On również wiedział o proponowanym awansie. Z całą więc pewnością propozycja taka padła, choć być może stała się już nieaktualna. Bardzo możliwe, że po awanturze, którą mu zrobiła, cofnął swoją rekomendację. Mógł pójść do Rossa i powiedzieć, że Brandi Ogilvie jest pozbawioną hamulców, głupią babą, która nie tylko nie zasługuje na awans, ale również nie nadaje się na zajmowane już stanowisko. Przemyślała to wszystko wielokrotnie i uznała, że właściwie jest jej wszystko jedno. Jeśli ceną za uczciwe powiedzenie Zackowi w oczy tego, co o nim myślała, miała być utrata stanowiska, to gotowa była ją zapłacić. Utratę pracy da się przeżyć, a awans – awans zawsze kiedyś przyjdzie i nie będzie go zawdzięczała Zackowi Forrestowi.

Tymczasem dni upływały jej między sprawami związanymi z prowadzeniem sklepu a akcją „Choinka dla potrzebujących”, którą po odejściu Zacka ktoś musiał przejąć, zwłaszcza że grypa u Pat Emerson spowodowała powikłania. Prawdę powiedziawszy, dzień po swoim odejściu Zack zatelefonował do Dory, pytając przez nią, czy ma dokończyć akcję. Brandi – również przez sekretarkę – odpowiedziała, że nie będzie już potrzebny. Była zresztą zaskoczona tym, ile radości dawało jej to zajęcie – czasochłonne i wymagające drobiazgowych ustaleń, lecz pochłaniające jak mało które. Żeby uciec od papierkowej roboty, zaczęła robić zakupy dla adoptowanej rodziny – tej, którą wyznaczyła sobie w tamtą niedzielę, kiedy po raz pierwszy zażądała od Zacka prawdy. Ciepłą odzież dla dzieci zgromadziła bez trudu, ale nie bardzo wiedziała, co sprezentować matce. Co można ofiarować kobiecie, której prośby dotyczyły wyłącznie dzieci? Miała też kłopot z wyborem zabawek dla chłopca.

Wielokrotnie przyłapywała się na tym, że najchętniej zapytałaby o radę Zacka. Kiedy to się zdarzało, zaciskała zęby i zmuszała się ponownie do pracy. Pewnego popołudnia była właśnie w dziale damskiej odzieży sportowej i oglądała komplet spodni ze swetrem, zastanawiając się, jaki

rozmiar może nosić tamta kobieta, gdy podeszła do niej Theresa Howard.

– Bardzo ładny zestaw – powiedziała.

Brandi przytrzymała sweter, wyczuwając wahanie w jej głosie.

– Naprawdę tak pani uważa?

– Tak. Tylko że... Czy to dla pani? Myślę, że błękit lepiej niż róż pasowałyby do pani wspaniałych włosów. Możemy przymierzyć?

Brandi roześmiała się.

– Słuszna uwaga – pochwaliła. – Ma pani dobry smak. Ale to... to ma być prezent.

– Ach, rozumiem... – Theresa Howard uśmiechnęła się i już przyjmując wpłatę, dodała: – Jeśli potrzebuje pani kogoś do dobierania prezentów, chętnie służę pomocą. Nie mogę się dołożyć finansowo, bo sama dopiero staję na nogi, ale bardzo bym chciała czymś się odwdziaczyć. Może więc...

– Bardzo dziękuję. Pomoc naprawdę się przyda. I, aha... Jeśli pamiętam, podpisała pani umowę tylko do końca sezonu?

– Tak. I rozumiem, że... Naprawdę...

– Rozmawiałam już na ten temat z panią Amos – przerwała Brandi. – Może się pani uważać za stałego pracownika.

Ekspedientce zwilgotniały oczy.

– Och, pani dyrektor... dziękuję.

– Nie ma za co. – Brandi czuła, że za moment sama się rozplacze. – Zasługuje pani na to stanowisko, a w przyszłości i na lepsze.

Wracając do swego gabinetu ze starannie zapakowaną torbą pod pachą, myślała, że jeśli w ogóle komuś należało się podziękowanie, to tym kimś był Zack. Tymczasem przy biurku Dory czekał na nią Ross Clayton.

– Zrobiłaś już swoje zakupy? – zapytał wesoło.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– Nareszcie – powiedziała, wpuszczając go do gabinetu. Postawiła torbę z boku biurka i usiadła.

– Przepraszam, że tak długo się nie odzywałem – powiedział, przystawiając sobie krzesło. – Byłem w Phoenix, żeby uporządkować tam pewne sprawy. Wiąże się to z tym, o czym chciałem z tobą porozmawiać. Potrzebuję kogoś, kto by wziął tę robotę. Rozumiesz, prawda? Zapewne rozmawiałaś już z Whitney? – Uśmiechnął się, widząc, że kiwnęła głową. – O tak, na nią zawsze mogę liczyć. No i jak? Jesteś zainteresowana?

Opuściła wzrok, szalejąc z radości.

– Myślę, że idealnie się do tego nadajesz. Masz nie tylko doświadczenie, ale i inteligencję. Jesteś osobą twórczą. Nie chciałbym jednak przechwalić tej propozycji. Praca na tym stanowisku nie jest łatwa ani szczególnie przyjemna. „Spadochroniarzy” raczej się nie lubi.

– Wiem – odpowiedziała nieswoim głosem. – Ale ja uwielbiam wyzwania, a lubiana być nie muszę. Nigdy mnie to nie obchodziło.

Ross pochylił się do przodu. Najwyraźniej takiej odpowiedzi się spodziewał.

– Przyznam ci się, że ostateczną decyzję podjąłem, kiedy się dowiedziałem, że wyrzuciłaś Zacka. Nie miałaś powodu sądzić, że jego obecność w Oak Park wiązała się z moimi planami wobec ciebie, ale... Coś przeczuwałaś, i o to chodzi. Potrzebuję osoby z szóstym zmysłem... Jednakże jest jeszcze pewna sprawa. Nie wypada mi co prawda pytać wprost, czy nie zamierzasz wyjść za mąż, ale muszę cię przestrzec, że to stanowisko rujnuje życie rodzinne i przyjaźnie.

Brandi na moment zacisnęła powieki. Dwoje dzieci, kolejka pod choinką... i Zack. Wyobrażenie to zbladło, było jak prześwietlona fotografia, jednak wciąż jeszcze ją poruszało.

– Musiałabyś się liczyć z wyjazdami trwającymi nieraz i półtora miesiąca. Właściwie tylko wpadałabyś do domu, ciągle byłabyś w drodze. Jeśli się zdecydujesz, chciałbym podpisać z tobą umowę na dwa lata. A potem porozmawialibyśmy, co dalej. Widziałbym cię na kilku kolejnych stanowiskach kierowniczych, które umożliwiłyby ci poznanie całej sieci.

Brandi odetchnęła głęboko, zastanawiając się, czemu tak mało ją to wszystko cieszy. Clayton stawiał sprawę jasno. Jak zwykle niczego nie owijał w bawełnę, był po prostu uczciwy. Pokazywał jej blaski, ale i cienie stanowiska, o którym od lat marzyła. Dlaczego więc, kiedy wreszcie mogła po nie sięgnąć, miała dręczące uczucie, że w ogóle, wcale to a wcale, go nie chce.

Czuła, że jest zwyczajnie głupia. Zack i tak nigdy nie stanie się częścią jej życia. Dzieci, które tak łatwo sobie wyobraziła, to zwykła ułuda. Była absolutnie wolna, samotna, odpowiedzialna wyłącznie za siebie. Przed nikim i z niczego nie musiała się tłumaczyć. Dla własnego dobra, z uwagi na własną przyszłość, powinna postąpić rozsądnie i przyjąć ten awans. A jednak...

Spojrzenie Brandi prześliznęło się po srebrno-błękitnej torbie, leżącej z

boku na blacie biurka. Jakże pragnęła zrobić ze swojego zakupu najpiękniejszą paczkę, być przy jej otwarciu, a może nawet poznać lepiej kobietę, dla której te rzeczy kupiła. Jakże by chciała spotykać co dzień Theresę Howard, cieszyć się jej rosnącymi kwalifikacjami, a może kiedyś, po odejściu Casey Amos, zobaczyć ją na jej miejscu. Gdyby przyjęła proponowane stanowisko, o wszystkim tym musiałaby zapomnieć. A zatem może jednak nie była taka niezależna, jak jej się wydawało. Może owa cenna niezależność okazywała się jedynie czymś, co sama sobie narzuciła i wmówiła, a co oznaczało świadomą izolację. Jeszcze rok czy dwa lata temu nie zastanawiała się ani przez sekundę, czy zostawić wszystko i wszystkich i rzucić się w wir nowych zadań. Teraz jednak uzmysłowiła sobie, że bezwiednie wrosła tutaj korzeniami.

– Jeśli potrzebujesz czasu do namysłu... – zaczął Ross Clayton.

– Nie. – Pokręciła głową i zwilżyła językiem wargi. – Już się zastanowiłam. Dziękuję ci, Ross. Dziękuję za zaufanie, ale jest mi tu dobrze.

Nie usiłował nawet kryć, że jest zaskoczony.

– Chyba nie powinienem występować z tą propozycją w środku sezonu. Przemyśl to, Brandi. Może po świętach, kiedy wszystko się trochę uspokoi, zmienisz jeszcze zdanie.

– Nie sądzę. Przepraszam, ale to prawda.

Przyglądał się jej z namysłem przez dłuższą chwilę i nagle zabłyśły mu oczy.

– Rozumiem. Moja żona i Whitney mówią, że ty i Zack...

– To nie ma nic wspólnego z Zackiem – powiedziała pewnym głosem. – To wyłącznie moja sprawa. Tak po prostu będzie najlepiej.

Uśmiechnął się znacząco.

Oczywiście niczego nie zrozumiał, pomyślała. Ale tego od niego nie oczekiwała.

Przyjęcia dla pracowników odbywały się zawsze w ostatnią niedzielę przed świętami. Tym razem całe popołudnie upłynęło w atmosferze oczekiwania, a tuż przed zamknięciem sklepu do Brandi dobiegały zewsząd wybuchy entuzjazmu. Sama zresztą przyłapała się na tym, że nuci kolędę.

W holu na parterze stały już długie, nakryte do kolacji stoły, a pod najokazalszą choinką piętrzyły się stosy kolorowych paczek i paczuszek. Brandi wsunęła swój prezent, starając się to zrobić jak najdyskretniej, lecz

kiedy odwróciła się od choinki, wpadła na Casey Amos. Wyraźnie zmieszana Casey usiłowała zakryć przed nią swoje liczne paczuszki.

– A ładnie to tak trwonić cenny czas pracy na bzdurki? – Brandi z uśmiechem pogroziła jej palcem. – Pakowałeś to pewnie długo. Wstydz się.

Casey przełknęła ślinę.

– Masz może ochotę na krewetki? – zapytała z niepewną miną. – Już z tobą idę, tylko to położe.

Stół był pięknie nakryty. Brandi wzięła talerzyk i z ozdobionego sałatą półmiska przełożyła sobie wielką gotowaną krewetkę. Nagle wydało się jej, że gdzieś obok mignął czerwony aksamitny rękaw. Bzdura, pomyślała od razu, nie panując nad tłukącym się jak szalone sercem. Po pierwsze, jakim cudem Zack miałby się znaleźć na przyjęciu dla pracowników. Po drugie – gdyby nawet przyszedł, to na pewno nie w stroju Świętego Mikołaja. Bardzo powoli odwróciła się, przewidując, że czar zaraz pryśnie i wszystko okaże się jedynie wytworem jej wyobraźni. Wyobraźnia, owszem, zadziałała, w bardzo jednak przewrotny sposób łącząc się z intuicją. Święty Mikołaj, ten jej ulubiony, w okularach, przystanął rzeczywiście tuż za nią. Pewnie nie chciało mu się przebierać po ostatniej zmianie. Dalej jednak, w wejściu, stał Zack. Był w czarno-białym swetrze. Poczwała nagle, że jeśli natychmiast nie odwróci oczu, zemdleje. Pamiętała deseń tego swetra tak dokładnie, że aż zawirowało jej w głowie. Jakaż była niemądra, myśląc, że prędzej czy później zapomni o Zacku, że czas zagoi rany... jak po rozstaniu z Jasonem. Tym razem jednak kochała naprawdę. To była miłość. Miłość jej życia.

Casey tymczasem westchnęła ciężko, jakby zdecydowała się wyjawic coś dramatycznego.

– To już lepiej się przyznam.

– Do czego? – syknęła Brandi. – Że to ty zaprosiłaś Zacka?

– Jest tutaj? – Casey bez szczególnego zainteresowania zerknęła do tyłu przez ramię. – Nie ó to chodzi, Brandi. Rzecz w tym, że... bardzo proszę, tylko się nie wściekaj... że przed losowaniem wrzuciłam kartkę z twoim nazwiskiem...

– I to wszystko?

– Pomyślałam, że bez ciebie byłoby jakoś łyso. Skoro jednak położyłaś pod choinką prezent, to znaczy... no, to znaczy, że dostaniesz dwa.

Parę tygodni temu na wiadomość, że została wciągnięta w coś, na co zupełnie nie miała ochoty, zareagowałaby irytacją, ale dziś ogarnęła ją tylko

wesołość.

– Nie przejmuj się. Będzie śmiesznie i... – Przerwała raptownie, bo na stół spadła nagle upuszczona przez kogoś krewetka. Podniosła wzrok i zobaczyła utkwione w siebie oczy Theresy Howard.

– Ja... ja też wrzuciłam los z pani nazwiskiem – szepnęła zmieszana, z pobladłą twarzą. – Casey napomknęła coś o pani odejściu, więc pomyślałam, że...

Humor tej sytuacji, a zarazem świadomość trafności podjętej decyzji, poruszyły Brandi tak głęboko, że zaczęła się głośno śmiać.

– Co za przyjęcie! – parsknęła, z trudem się opanowując. – Nie oddałabym go za żadne skarby świata.

Mimo obecności Zacka przeżywała dzisiaj swój wielki triumf. Ktoś o niej myślał, żałował, że odchodzi. Była potrzebna! Dokonała słusznego wyboru! Uspokoiwszy się nieco, pomyślała, że Zack postanowił chyba jej unikać, gdy nagle, sięgając po szklaneczkę z barku, znalazła się z nim twarzą w twarz.

– Jak tam interesy? – Spróbowała zachować pogodny, lekki ton. Wcisnęła cytrynę do wody sodowej i wytarła palce w serwetkę.

– Nieźle. Zmieniamy sposób produkcji. Żadna rewolucja, ale mam nadzieję, że do przyszłorocznych świąt staniemy mocno na nogi.

– Na pewno. – Nie czuła się na siłach popatrzeć mu w oczy. – Cieszę się, że już wiesz, w czym tkwił błąd.

– A ja się cieszę, że dostałaś upragnione stanowisko.

Nim zdążyła cokolwiek wyjaśnić, oddalił się. Nieważne, pomyślała, ale ból, z jakim żyła od dnia, w którym odkryła, że ją szpiegował, dał o sobie znowu mocniej znać.

Wymianie prezentów towarzyszyły salwy śmiechu. Brandi wywoływano trzykrotnie, kiedy jednak wręczono jej czwartą paczuszkę, zawołała ze śmiechem:

– No, nie! Casey, Theresa, to wiem, ale kto jeszcze ze mnie zażartował? Przyznajcie się! – Nagle dostrzegła Zacka i zrozumiała. On także uznał ją za biedactwo, które potrzebuje serca. Zauważyła też, że Dora nieśmiało podnosi rękę, a zaraz potem odezwał się kierownik działu zabawkarskiego.

– Myśleliśmy, że byłoby smutno, gdyby nie uczestniczyła pani w naszej ostatniej wspólnej Gwiazdce.

Brandi westchnęła. Whitney miała rację. Plotka może wszystko. Jaka

szkoda, że głuchy telefon nie przeniósł ostatnich i ostatecznych ustaleń.

– Nie jestem śmiertelnie chora – powiedziała. – I niezależnie od tego, co się opowiada, nie odchodzę do innej pracy. – Zerknęła na podarunki leżące na jej kolanach.

– Jestem tutaj szczęśliwa, bo mam w was przyjaciół.

Impreza zakończyła się wcześniej, ponieważ rano zaczynał się najgorętszy tydzień sezonu. Zack wyszedł jako jeden z pierwszych. Brandi zauważyła to, ale starała się nie dramatyzować. Odczekała, aż wynajęci pracownicy restauracji sprzątną po przyjęciu, i dopiero wtedy pojechała do domu.

Była właśnie zajęta umocowywaniem w girlandzie nad kominkiem porcelanowej figurki Świętego Mikołaja, którą otrzymała w prezencie, gdy rozległ się dzwonek do drzwi. Zerknęła przez wizjer i widząc Zacka, niechętnie je uchyliła.

– Dobrze, że nie udajesz, że cię nie ma – powiedział.

– Głupio by wyglądało, gdybym musiał wspinać się na balkon po rynnie.

Nie zaprosiła go do środka.

– Nie rozumiem, po co miałbyś to robić. Jeśli zostawiłeś coś na przyjęciu, to odbierz sobie jutro ze sklepu. Nie mam zamiaru tam dzisiaj wracać.

– Nie po to tu jestem. Czy Ross nie zaproponował ci tego nowego stanowiska?

– A czemu go o to nie zapytasz? Boisz się, że mimo twojej rekomendacji nie sprostam oczekiwaniom?

– Musimy koniecznie rozmawiać przez drzwi?

– Nie pamiętam, żebym cię zapraszała.

– Brandi... Nie mam żalu o to, że się gniewasz. W porządku, zachowałem się niewłaściwie i nic tego nie usprawiedliwia. Pozwól mi jednak coś wyjaśnić. Nie robiłem tego dla pustej zabawy. Wszystko dokładnie przemyślałem.

Wzruszyła ramionami.

– To już nudne, ale proszę, mów. Nie mam nic do stracenia.

Wpuściła go, ale nie zaproponowała kawy ani nawet nie usiedli. Było mu to zresztą najwyraźniej obojętne. Przez chwilę chodził nerwowo po pokoju, aż zauważył stojącą na gzymsie kominka figurkę Świętego Mikołaja i zatrzymał się.



– Ja i Ross – wyrzucił z siebie nagle – przyjaźnimy się od czasu studiów. Mówiąc dokładniej, poznaliśmy się w gabinecie dziekana. Za udział w pewnej drace obu nam groziło wyrzucenie z uczelni. Przyrzekliśmy sobie wtedy, że jeden drugiego nigdy nie opuści w biedzie. Kiedy więc sprzedaż moich zabawek katastrofalnie spadła, zadzwoniłem do Rossa.

– A on – machnęła ręką, dając wyraźnie do zrozumienia, że nie interesują ją perypetie Intellitoys – uznał, że za jednym zamachem da się upiec dwie pieczenie. W zamian za przysługę kazał ci mnie szpiegować.

– Nieprawda. Wszystko, o co mnie prosił, to opinia, czy moim zdaniem nadajesz się do pracy, którą chciał ci zaproponować.

– No właśnie. Ja to nazywam szpiegowaniem.

– Bez sensu! Chodziło mu wyłącznie o spojrzenie drugiej osoby, o ewentualną różnicę zdań. Wiedział, że jesteś dobra w tym, co robisz, zastanawiał się jednak, czy potrafisz się szybko przystosować do zupełnie innego stylu pracy. Niezależnie od tego, co bym powiedział, decyzja należała do niego. Nie wiedziałem wtedy... no bo skąd?... że nie będę się przyglądał po prostu jakiejś tam pani, ale... ale komuś, kto dla mnie osobiście stanie się ważny.

Przez moment nie wiedziała, jak zareagować. Oczekiwała kiedyś na więcej, ale i te słowa zachowałyby w pamięci *na zawsze*.

– Pochlebiasz mi, Zack – powiedziała chłodno – ale skoro tak to widziałeś, to czemu nie cofnąłeś danej Rossowi obietnicy i nie powiedziałeś mi, co jest grane.

– Myślałem o tym. Na bankiecie u Claytonów ostrzegłem Rossa, że zamierzam wyjaśnić ci powody, dla których zostałem Świętym Mikołajem. Chciałem ci powiedzieć wszystko, o ewentualnym awansie też... Próbowałem, ale mi umknęłaś. A później już nic, tylko atakowałaś.

– A ty, za karę, nie wystawiłeś mi żadnej cenzurki. Czy tak? Nie mogłeś mu po prostu powiedzieć, że się nie nadaję?

– Nie. A wiesz dlaczego? Dlatego, że uważałem i uważam, że będziesz na tym stanowisku świetna. Chciałem ci to powiedzieć i chociaż raz być z tobą do końca szczerzy. Ale... Brandi, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Gdybym zdradził zamiary Rossa, to zachowywałabyś się wobec mnie inaczej. To przecież oczywiste. A wtedy właśnie nie dałby ci tej pracy. Jemu potrzebny jest twardziel. Złapałem się we własne sidła... Oświadczyłem więc, że nie będę rozmawiał na twój temat, ponieważ jestem tobą zbyt

zainteresowany, by wydawać obiektywne sądy.

– Uwierzył ci?

– A nie miał powodów? Tylko dlatego, że nie mogłaś znieść mojej obecności...

Czuła, że zamiera w niej serce.

– Co powiedziałeś?

– Nic. Dałaś mi wyraźnie do zrozumienia, że liczy się dla ciebie przede wszystkim kariera zawodowa. Rozumiem to i szanuję. Nie mam wielkiego wyboru, nieprawdaż? – Podciągnął suwak kurtki. – Powiedziałem wszystko, co miałem powiedzieć, i więcej już nie będę ci sobą zawracać głowy. Do widzenia.

Chciał ją wyminąć, lecz chwyciła go za rękaw. Wiedziała, że jeśli pozwoli mu teraz odejść, nigdy tego nie odżałuje.

Nagle stało się coś nieoczekiwanego. Powoli nakrył dłonią jej zaciśnięte palce, a kiedy puściła kurtkę, podniósł jej rękę do swojej twarzy. Gdyby nawet miała go już nigdy nie spotkać, przechowałaby tę chwilę w pamięci jak najcenniejszy skarb. Uśmiechnęła się bezradnie i zwilgotniały jej oczy. Nie umiałyby określić wyrazu twarzy Zacka w chwili, gdy zamknął ją w ramionach. Całowali się tak, jakby mieli zaraz rozstać się na zawsze, i w pewnej chwili uświadomiła sobie, że jej miejsce jest wyłącznie tu, przy nim. W nagłym odruchu całkowitego zawierzenia wtuliła się w niego z takim oddaniem, że odsunął ją od siebie i kołysząc lekko, powiedział z jakimś wewnętrznym zdumieniem:

– Brandi, słuchaj, ty przecież nawet nie jesteś w moim typie.

Ocknęła się natychmiast i zawstydzona swoim zachowaniem próbowała się wymknąć, ale jej nie puścił.

– Jak ognia unikałem zawsze kobiet o silnej osobowości, zwłaszcza takich, którym marzy się kariera zawodowa.

– Z kwiatka na kwiatek... – powiedziała, przypominając sobie opinię Whitney.

– Niezupełnie, ale angażować się zbyt głęboko nie chciałem. Z tobą też... ale, widzisz, nie wyszło. Przyjechałem dziś do ciebie, aby się wypowiedzieć, więc coś ci jeszcze powiem, dobrze? Długo nie wiedziałem, dlaczego tak mnie kusisz. Budziłaś we mnie niechęć, bardzo cię nie lubiłem.

– Dziękuję.

– Dopiero tego wieczoru, gdy zapytałaś, czy pracuję dla Rossa... Byłaś

taka bezbronna i szczerą w swoich reakcjach, że pomyślałem: Święty Boże, może to ona, kobieta, której szukam od lat. Ogarnęło mnie dziwne uczucie, że moje dotychczasowe wyobrażenia o kobiecie, tej wyśnionej, wymarzonej, no wiesz, nie mają wiele wspólnego z rzeczywistością. Myśl tę jednak potraktowałem jak herezję i nie dałbym jej szans, gdybym cię nie zobaczył z dziećmi. Wyobraziłem sobie, że i ty chciałabyś zasmakować rodzinnego życia, ale teraz już wiem, że dałem się ponieść fantazji.

Brandi czuła, że zaraz wybuchnie płaczem.

– Chciałem ci się na tym balu oświadczyć, a potem rzucić ci się do stóp i wyznać całą prawdę. Ale nie uznałaś za stosowne mnie wysłuchać. Myślałem, że wiesz, co chcę ci powiedzieć, ale wolałaś uniknąć kłopotliwych wyznań i dlatego wyszłaś bez pożegnania. Zrozumiałem, że nie mam szans. Że się nie liczę, bo zależy ci wyłącznie na karierze. Ale, widzisz, pokochałem cię i chciałbym dla ciebie najlepiej, nawet jeśli miałyby mnie ominąć szczęście.

– Delikatnie pocałował ją we włosy. – Jeszcze nie jest za późno, na pewno. Porozmawiam z Rossem.

– Ross... – Odetchnęła kilkakrotnie, jakby jakaś przeszkoda w gardle nie pozwalała jej mówić. – Ross zaproponował mi to stanowisko. Odmówiłam.

– Co?!

– A myślisz, że dlaczego tak na ciebie nakrzyczałam? Nie zaplanowałam tego w pełni świadomie, ale wydawało mi się, że jeśli wszystko ci wygarnę, to powiesz Rossowi, że sienie nadaję...

– Chciałaś, żeby tak się stało?

– Nie wiem, ale tak, chyba tak.

– Dlaczego?

– Kiedyś – powiedziała powoli, nie patrząc mu w oczy – wydawało mi się, że jestem zakochana. To był uroczy człowiek, pisarz, tyle że abnegat. Szedł na łatwiznę. Kiedy znalazł kobietę z dużymi pieniędzmi, zostawił mnie. Poprzysięgłam sobie wtedy, że nigdy się już z nikim nie zwiążę – a na pewno już nie z żadnym lekkoduchem, którego mało obchodzi, skąd weźmie pieniądze na opłaty za samochód.

– I który łapie sezonową pracę Świętego Mikołaja, żeby związać koniec z końcem.

Kiwnęła głową.

– Nie szukałam nikogo, ale nawet gdyby tak było, do głowy by mi nie

przyszło, że tym kimś mógłbyś być właśnie ty. Nim się zorientowałam, zapadłeś mi w serce. Sprawileś, że znowu zapragnęłam zbliżyć się do ludzi, dawać... po prostu żyć.

Mocno przyciągnął ją do siebie.

– Kocham cię – powiedziała. – Ale nie wiem, nie wiem... Boję się. Dla ciebie ważne są dzieci. A co będzie, jeśli nie potrafię być dobrą matką? Nie czuję powołania...

Uśmiechnął się.

– Gdyby tak było – powiedział łagodnie – nie zadawałabyś sobie takich pytań. Poczekamy, zobaczymy. Jeśli się okaże, że macierzyństwo naprawdę ci nie odpowiada, to trudno. Bylebyś ze mną była.

Czuła, że opuszcza ją straszliwe napięcie.

– Wiesz – powiedziała z ulgą – ty mnie czasami przerażasz, ale tylko przy tobie wiem, że żyję.

– Wybaczysz mi, że nie byłem z tobą szczery?

– Tak. Teraz już rozumiem dlaczego.

Pocałował ją znowu.

– Jeśli chcesz tego stanowiska, jakoś to sobie ułożymy. Brandi, ja...

– Nie, Zack. Praca jest ważna, **ale nie** najważniejsza.

– A co jest najważniejsze?

Spojrzała mu w oczy i resztki wątpliwości zniknęły.

– Ty – wyznała, zakochana i bezmiernie szczęśliwa. – Teraz i zawsze, mój ty niezwykły, nieprawdopodobny Święty Mikołaju.